DIABEŁ KULAWY

PRZEZ

JMCI PANA LE SAGE

po Francuzku napiſany, a na Polſki Język

PRZEZ

Wielmożną Jmć Panią Annę

Z GROZMANICH

NARBUTTOWĘ

CHORĄŻYNĘ PTTU LIDZ:

PRZETŁUMACZONY.

TOM DRUGI.



DIABEŁ KULAWY.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

O Grobach, Cieniack y Smierci.



Niżeli zaczniemy dalſze widoki żyjących, mòwił Diabeł: przeydźmy do grobow, y poruſzmy ſpokoyność umarłych, ktòrzy w tym ſpoczywają Kościele. Przebieżmy wzrokiem groby, ktòre widziſz otwarte.

Pierwſzy z tych, co na prawey ſą ſtronie, zawiera w ſobie ſmutne zwłóki pewnego Generała, który jak drugi *Agamemnon* za powrótem ſwoim z woyny do domu, znalazł w nim (*) *Egiſta*. W drugim, leży młody kawaler dobrego urodzenia, który chcąc ſię pokazać odważnym pod czas widowiſka walki bykow przed ſwoją damą tamże przytomną, rzucił ſię między ich dla rozbronienia, y był od nich na mieyſcu zabitym.

W trzecim grobie ſpoczywa pewny Prałat, który gwałtownie zſzedł z tego świata, dla tego, iż będąc jeſzcze czerſtwym y zdrowym uczynił teſtament, którym, jako dobry Pan każdemu z ſług ſwoich

(*) Agamemnon Wodz na wyprawę Trojańſką w dzieſięć lat powróciwſzy do Oyczyzny, za naleganiem żony ſwojey Klytemneſtry od Egiſta kochanka zabity był.

ich zapiſywał. Kucharz jego niecierpliwy był w oczekiwaniu tey legacyi, y poſtarał ſię o przyſpieſzenie oney.

Czwarty zawiera w ſobie oſobę Dworſką, ten niczym ſię więcey nie zatrudniał, jak nadſkakiwaniem Królowi. Widzieć go było przez lat ſześćdzieſiąt, przy wſtawaniu, obiedzie, kollacyi y zaſypianiu Monarchy zawſze przytomnego, który nadgradzając jego ku ſobie przychylność, obdarzał go często różnemi dobrodzieyſtwy. Czy czyniłże ten człowiek jakie komu przyſługi, zapytał *Kleofas*, ponieważ był tak dobrze położonym u Pana ſwego? nikomu w całym ſwoim życiu, odpowiedział *Aſmodeuſz*: obiecywał on w prawdzie wiele, ale nigdy ſwojey nie dotrzymywał obietnicy. Przebrzydły człowiek, zawołał *Leandro*; y gdyby chciano kiedy wyłączyć z ſpołeczeńſtwa

ludz-

ludzkiego osoby, ktòre w nim są nieużyteczne, naypierwiey trzebaby zacząć od ludzi Dworskich tego charakteru.

Piąty grob, zamyka w sobie zwłòki pewnego Pana *Hiszpańskiego*, gorliwego bardzo o dobro swojego narodu; y chciwego chwały Krò-la swego; był Postem przez trakt życia swego *do Rzymu, Francyi, Anglij, Portugalij*, stracił w tych Poselstwach całą swoją substancyą, gdy umarł, nie było za czym go pogrześć. Kròl zaś zawdzięczając jego wierne całego wieku usługi, kazał go prz e swoim kosztem pochować.

Przenieśmy już nasze wzroki na drugą stronę, y uważaymy tam groby. W pierwszym spoczywa Konsyliarz Rady *Indyiskiey* z swoją żoną, ten człowiek w sześćdziesiąt trzecim roku ożenił się z młodą Panną ośmnastoletnią. Miał z pierwszego małżeństwa dwoje dzieci,

któ-

które chciał ukrzywdzić przez zapiſanie wſzyſtkich dóbr ſwoich powtórney tey żonie; lecz tego dnia, gdy to miał uczynić, gwałtowna appoplexya z życia go pozbawiła. Zona jego umarła po nim we dwadzieścia cztery godziny z żalu; że mąż jey trzema dniami później nie umarł.

Przychodziemy teraz do grobu naywſpaniałſzego y cczcinaygodnieyſzego; *Hiſzpanie* tyle mają poważenia dla tego grobu, ile niegdyś mieli dla *Romuluſowego Rzymianie*. Kogoż on w ſobie zawiera, zapytał *Leandro*? jednego z naypierwſzych Miniſtrow Korony *Hiſzpańſkiey*, odpowiedział *Aſmodeuſz*: nigdy już to Królewſtwo nie będzie miało podobnego; Król we wſzyſtkim ſię ſpuſzczał na tego wielkiego człowieka, który tak dobrze ſwóy ſprawiał Urząd, że y Monarcha y poddani bardzo z niego byli

li kontenci; Kray pod jego Miniſtrowſtwem był zawſze kwitnącym y lud ſzczęśliwym. Na koniec ten zacny Miniſter miał religią, y wiele ludzkości, a chociaż nie miał ſobie co zarzucić umieraiąc, niepewność jednak jego loſu przyſzłego, ze ſtrachem z niego wyprowadzała duſzę.

Niedaleko od tego Miniſtra zacnego; czy widziſz w kącie ten marmur czarny, który grob zamyka? chcę ci go otworzyć, ażebym pokazał zwłoki jedney mieyſkiey Panny, która w kwiecie ſwey młodości umarła, y którey piękność, wſzyſtkich na ſiebie pociągała oczy. Już to tylko jey ſą popioły, lecz za życia, tak to była miła oſoba, że oyciec jey uſtawnie ſię obawiał, aby który z Amantow jey nie wykradł: co mogłoby bez wątpienia naſtąpić, gdyby była dłużey żyła. Trzech kawalerow, którzy

ſię

ſię w niey niezmiernie kochali, tak byli śmiercią tey Panny przerażeni, że z wielkiey rozpaczy, życie ſobie odebrali, jeden z nich wypił truciznę, drugi przebił ſię ſzpadą, a trzeci ſię powieſił. Ta ich tragiczna hiſtorya, jeſt na tym czarnym marmurze wyryta: z trzema oſobkami, które tych trzech rozpaczających Amantow znaczą.

Diabeł w tym mieyſcu obaczywſzy, że ſię śmiał *Zambullo*, dla tego, iż przyozdobiono nadgrobek tey Panny trzema owemi Deſperatami; rzekł mu: ponieważ ta immaginacya ucieſzyła twóy umyſł, mam chęć zanieść cię do jednego Kościoła nad brzegiem *Tagu*, dla pokazania nadgrobku pewnego Autora, który prowadząc życie roſkoſzne w *Madrycie*, y wydawſzy wiele Xiąg gorſzących, żałował tego przed ſamą śmiercią tym ſpoſobem: iż kazał wyrznąć na ſwoim nadgrobku nakſztał

kſztał ſtoſu złożonego z Xiąg, z napiſem tytułow Xiąg wydanych od ſiebie, a wſtyd, trzymał pachodnią z ogniem dla podpalenia owego ſtoſu.

Prócz tych umarłych, którzy pod temi leżą nadgrobkami, jeſt tu bardzo wielu innych, którzy bez tey okazałości ſą pochowani. Widzę te wſzyſtkie onych cienie błąkające ſię, y przechodzące jedne koło drugich bezprzeſtannie, nietrwożące tey ſpokoyności, która jeſt w tym Swiętym mieyſcu. A lubo nic do ſiebie nie gadają, wyczytuję jednak z ich milczenia wſzyſtkie myśli. Ach jakże mię to martwi! zawołał *Kleofas*, iż ja ich widzieć nie mogę, uczynię to ja dla ciebie, rzekł *Aſmodeuſz:* bo nic dla mnie łatwieyſzego; to mówiąc, dotknął ſię jego oczu, y przez moc ſwoją dozwolił mu obaczyć, wielką liczbę cieniow białych.

Na

Na to widowifko zadrżał *Zambullo*: jak to zawołał Diabeł, ty drżyfz y lękafz fię tych cieniow? uzbroy fię śmiałością, y niczego fię nie obawiay. Wfzakeś fię mógł na moją zapatrywać poftać bez bojaźni; a ci ludzie, nie fą tak złośliwi jak ja.

Na te flowa *Don Kleofas*, nabrawfzy śmiałości, przypatrywał fię owym duchom. Uważay z pilnością te wfzyftkie cienie, rzekł *Kulawy*: ci, ktòrzy mają wfpaniałe nadgrobki, fą pomiefzani z temi, ktòrzy za całą ozdobę pogrzebową, mizerne tylko mieli defki. Podległość, która ich zniżała w życiu, już tu nie ma mieyfca. Naywiękfi Xiążęta, y pierwfi Miniftrowie, nie różnią fię teraz od nayniżfzych Obywatelow, w tym tu pogrzebionych Kościele. Wielkość ich Imienia y Domu, już fię z ich fkończyła życiem: tak, jak fię kończy od-

odwaga Rycerza teatralnego, z końcem widowiſka. Y poſtrzegam, rzekł *Leandro*: jeden cień, który ſam ſię tylko przechodzi, y zdaje ſię unikać ſpołeczeńſtwa z drugiemi: mów raczey, rzekł Diabeł: że oni od niego uciekają; czy wieſz czyi to jeſt duch? ſtarego jednego Piſarza Mieyſkiego, który tyle miał próżności, że ſię kazał pogrześć w trumnie ołowianey. Co obraziło wſzyſtkich Mieſzczan, których ciała ſą tu z więkſzą ſkromnością pochowane, na ukaranie jego pychy, niechcą aby cień jego z niemi ſię miał mieſzać.

Jeſzczem jedną uyrzał rzecz, mówił *Kleofas*: dwa cienie, które przechodząc ſię zatrzymały ſię troche, a ſpóyrzawſzy na ſiebie, poſzły daley. To ſą, odpowiedział Diabeł, cienie, dwóch wielkich przyjacioł, jeden pewnego Malarza, a drugi Muzykanta, byli oni trochę pijacy, z reſztą, uczciwi ludzie.

Prze-

Przeſtali żyć w jednymże roku, a gdy ſię ich cienie teraz ſpotykają, przypominając ſobie dawnieyſze zabawy, mówią do ſiebie przez ſwoje ſmutne milczenie: ach! móy przyjacielu, już więcey pić z ſobą nie będziemy.

Ja z mojey ſtrony, rzekł *Aſmodeuſz*, poſtrzegam trzy cienie, w tym tumulcie godne uwagi; trzeba żebym ci powiedział, jakim ſpoſobem zeſzły z tego świata. Ożywiały one ciała, trzech pięknych Komedyantek, które tak ſłynęły tu w Madrycie, jak niegdyś *Origo*, *Citheris*, *y Arbuſkala* w Rzymie: y które także jak y one, umiały ſztukę bawienia ludzi publicznie, a niſzczenia ich prywatnie. Słuchay, jaki był koniec Komedyantek tych Hiſzpańſkich. Jedna z nich umarła nagle, na odgłos pochwał, które lud zgromadzony na teatrum nowey dawał aktorce; druga, iż zby-

zbytecznie wymyślnych używała potraw; trzecia, grając rolę Panny *Weſtalſkiey*, umarła z poronienia, które po ſkończoney roli, przytrafiło ſię jey za teatrum.

Daymy już pokoy tym wſzyſtkim cieniom, mówił Diabeł: doſyć my ſię im przypatrywali, chcę ci pokazać rzecz nową, która cię więcey wzruſzy; przez tę ſamą moc, com ci pokazał mary, pokażę ci także y śmierć. Obaczyſz tę okrutną nieprzyjaciołkę rodzaju ludzkiego, która uſtawnie koło ludzi krąży, choć jey nie widzą y która, w jednym mgieniu oka, przebiega wſzyſtkie części świata, y daje czuć moc ſwoją różnym jego mieſzkańcom.

Obròć wzrok ſwòy ku wſchodowi, y przypatrz ſię śmierci. Mnogość wielka ſępow leci przed nią, y ogłaſzają jey przyiście przez przykre krzyki. Nieſpracowana ręka tey nieprzyjaciołki ludzkiey, jeſt

uzbro

uzbrojona ſtraſzliwą koſą, pod którą wſzelaki rodzay upada. Na jednym z jey ſkrzydeł, jeſt odmalowana woyna, głod, powietrze, rozbicia okrętow, przypadki nieſzczęśliwe, ktòre co raz dla niey nowe przynoſzą łupy. Na drugim ſkrzydle, ſą odmalowani Doktorowie w przytomności śmierci, ktòra dając im czapki na znak, kazała przyſiądz, żeby nigdy bez niey nie ważyli ſię kurować nikogo, y że inaczey leczyć nie będą, tylko jak dziſiay leczą.

Chociaż *Kleoſas* wiedział dobrze, iż widok śmierci, nie był w iſtocie, y że to tylko dla jego zabawy, Diabeł pokazywał mu śmierć pod tym kſztałtem, nie mógł jednak na nią patrzać bez ſtrachu, y rzekł do Diabła: ta ſtraſzliwa poſtać, niedaremnie przez to Miaſto Madryt przelatuje, zoſtawi bez wątpienia znaki ſmutne ſwojey bytności; tak jeſt,

nie

nie myliſz ſię w tym. odpowiedział Kulawy; jeżeli chceſz być świadkiem jey ſprawek, uczynię to dla ciebie, że będzieſz widział. Dobrze odpowiedział Uczeń, idźmy za nią, y przypatrzmy ſię gdzie ona ſwoje złości wywierać będzie: o jak wieluż ona łez wylania, będzie dziś przyczyną?

Nie wątpię bynaymniey, odpowiedział *Aſmodeuſz:* jednakowoż, śmierć mimo ſwoje przykrości, dla jednych jeſt przyczyną ſmutku, dla drugich radości.

To mówiąc *Aſmodeuſz:* poleciał z *Kleofaſem* ścigać śmierć y przypatrować ſię jey czynnościom. Weſzła zaraz do jednego domu mieyſkiego, którego Pan był niebeśpiecznie chorym; dotknęła ſię go ſwoją koſą, y ſkonał na łonie ſwojey Familii! co w tym domu, to nie maſz radości, rzekł *Aſmodeuſz:* żona y dzieci tego Mieſzczanina kocha-

cha-

chali go ſerdecznie; a do tego potrzebny im był dla ich wyżywienia, łzy ich nie ſą obłudne.

Lecz nie tak ſię dzieje w drugim domu, gdzie widziſz śmierć odbieraiącą życie jednemu ſtarcowi bogatemu, który zawſze żył w bezżenności y nad zwyczay oſzczędnie, dla zgromadzenia wielkich dostatkow, które teraz trzem ſwoim Synowcom zoſtawić muſi; ci dowiedziawſzy ſię o ſłabości jego, przybiegli; przymuſzali ſię do okazania wielkiego ſmutku y doſyć dobrze w oczach konaiącego ſtarca ſwoią grali rolę. Lecz widziſz, iż już te ſwoie zdięli maſki; y gotuią ſię do odziedziczenia, robiwſzy wprzód miny żałośne y zmyślone ſmutki; widziſz jak ſię po wſzyſtkich uwiiaią kątach, zbieraiąc złoto y ſrebro.

Co za ukontentowanie dla ſynowcow: mówi jeden z nich do

drugich, mieć ſtarych y bogatych Stryjow! ktòrzy żałując y ſkąpiąc dla wygod właſnych ſwoich, więcey dla nich zoſtawują. Piękna modlitwa za umarłego, rzekł *Leandro*: przyznam ci ſię, odpowiedział Diabeł: że więkſza część Oycow bogatych, a długo żyjących, podobnych modlitw po ſwoich dzieciach mogą ſię ſpodziewać.

Pod ten czas, gdy ci dziedzice pełni radości, przetrząſają ſkarby nieboſzczyka, śmierć ku wielkiemu jednemu poſuwa ſię Pałacowi, gdzie młody Pan mieſzka chorujący teraz na ospę. Ten kawaler naypięknieyſzym y nayudatnieyſzym jeſt we Dworze Królewſkim, zginie w kwiecie lat ſwoich, mimo ſtaranie nayſławnieyſzych Doktorow, za ktòrych idzie radą; albo raczey dla tego, że ſię im we wſzyſtkim poddaje.

Uważay, z jaką prędkością śmierć

swo-

ſwoje odbywa ſprawki, już ucięła przędzę życia temu młodemu Panu, y zabiera ſię do dalſzych jeſzcze czynności. Zatrzymuje ſię nad tym Klaſztorem dla ſkròcenia życia przykrego, oſtrego, y pokutnego, jednemu poczciwemu Zakonnikowi, ktòre od lat czterdzieſtu już tam prowadzi. A chociaż śmierć jeſt ſtraſzliwa, nic go bynaymniey nie ſtrwożyła. Lecz w nadgrodę tego wchodzi teraz do pewnego domu, ktòry ma napełnić ſtrachem y bojaźnią.

Przybliża ſię do jedney oſoby Duchowney, poważney, ktòra niedawno na Biſkupſtwo zoſtała nominowaną. Ten Prałat niczym ſię nie zatrudnia, jak tylko przygotowaniem w ludzi, ſprzęta y konie, aby ſię mógł z większą okazałością w ſwojey pokazać Dyecezyi; bynaymniey o śmierci nie myśli. Z tym wſzyſtkim w tym momencie, na

tamten świat się przeniesie bez żadney wspaniałości y okazałości, tak, jak tamten przed nim ubogi Zakonnik, y wątpię bardzo, aby tam równie z nim był przyjęty.

O Nieba! zawołał *Zambullo*, cóż to widzę, śmierć zbliża się do Pałacu Królewskiego, bardzo się obawiam, aby uderzeniem swoją kosą, całey Hiszpanii nie zostawiła w zamieszaniu. Masz racyą obawiać się, rzekł Kulawy: gdyż ona nie więcey ma, względow na Krolow, jak na naylichszego wieśniaka. Lecz nie lękay się dodał: jeszcze się nie do Monarchy zbliża, tylko do jednego z dworskich Panow, ktòrego cała była zabawa podchlebiać swemu Krolowi, y przez ten sposob pozyskać jego łaskę. Ale wielu się bardzo na jego mieyscu znaydzie.

Zdajemi się, rzekł *Leandro*, że śmierć nie kontentuje się wzięciem tego Pana, widzę ją zbliżającą się

ku

ku *Appartamentom* Królowey: prawda, odpowiedział Diabeł: bardzo tam rzecz potrzebną uczyni, ma skrócić przędzę życia jedney złey kobiecie, którey jedyną jest zabawą y ukontentowaniem, wzniecać niezgodę w całym Dworze Królowey, y która tak nagle, y niebeśpiecznie zachorowała dla tego, iż widziała z wielką swoją zgryzotą dwie damy godzące się, które ona pokłóciła.

Usłyszysz zaraz straszne narzekania, mówił daley Diabeł: śmierć wchodzi do tego pięknego Pałacu na lewey ręce; obaczysz tam nayckliwszą scenę, która kiedykolwiek mogła się przytrafić na teatrum świata. Obróć oczy twoje, na to opłakane widowisko: w rzeczy samey postrzegam, rzekł *Kleofas* damę, która rwie sobie włosy, y leży zemdlona na ręku swoich kobiet. Dle czegoż zdaje się być tak wielkim smutkiem przejęta? rzuć oko

na

na pokoy, ktory jeſt na przeciwko niey; odpowiedział Diabeł: a dowieſz ſię przyczyny. Czy widziſz człowieka leżącego na wſpaniałym łóżku, jeſt to jey mąż konający, którego ona nadzwyczaynie kocha, y nic jey w tym ſmutku pocieſzyć nie może. Ich Hiſtorya jeſt bardzo tkliwa, y godna być w xięgach napiſaną, mam chęć powiedzieć ci ją.

Wielką mi uczyniſz łaſkę, odpowiedział *Leandro*: rzeczy tkliwe tyle mię miękczą, y poruſzają, ile ucieſzne rozweſelają. Troche jeſt przydługa, odpowiedział *Aſmodeuſz*: lecz tak jeſt zabawna, że ſłuchając, nudzić ſię nie będzieſz. Porzućmy już przypatrywać ſię przykrey oczom moim śmierci, niech ona nowych dla ſwojey zapalczywości ſzuka ofiar. Dobrze, odpowiedział *Zambullo*: ciekawſzy jeſtem daleko, ſłyſzeć Hiſtoryą, którą mi tak zachwa-

chwałaſz, niżeli widzieć ginących ludzi jednych po drugich. W ten czas Kulawy w te zaczął mòwić ſłowa, przenioſłſzy jednak pierwiey Ucznia na naywyżſzy dom w ulicy *Alkala*.

ROZDZIAŁ Drugi.

Moc przyjaźni

HISTORYA.

Jeden młody kawaler z *Toledu*, wyjeżdżał z pośpiechem bardzo rano z domu z ſwoim tylko Kamerdynerem, dla uniknienia przypadku z tragiczney awantury wyniknąć mogącego, ktòrey ſam był autorem. O dwie był tylko mile od Miaſta Walencyi, gdy w bor wjeżdżając, ſpotkał damę wyſiadającą z karety z wielką prędkością: twarz jey nie była okryta kweſem, która niezmierną ukazywała piękność. Ta

Ta piękna oſoba zdawała ſię tak być pomieſzaną, że *Toledan* za rzecz potrzebną oſądził, ofiarować jey ſwoją pomoc.

Wſpaniały kawalerze: rzekła mu dama, przyimuję przyſługę twoją, którą mi dać obiecujeſz, zdajemi ſię, iż cię tu umyślnie ſprowadziły nieba, dla odwrócenia nieſzczęścia, którego ſię lękam. Dwóch kawalerow, dali ſobie ſłowo w tym leſie, y dopierom ich tu wchodzących widziała, gdzie mają z ſobą pojedynkować. Idź ze mną, y pomoż mi ich rozbronić. *Toledan* zoſtawiwſzy Kamerdynera y konie, ſzedł za nią.

Tylko co kilkadzieſiąt uſzli krokow, uſłyſzeli ſzczęk broni, y uyrzeli dwóch ludzi, z wielką bijących ſię zapalczywością: *Toledan* wpadłſzy między nich, ſtarał ſię rozbronić, proſił y zaklinał, aby choć na moment gniewy ſwoje pohamo-

hamowali, pytał ſię o ich Imiona y o przyczynę zwady,

Odważny nieznajomy, rzekł do niego, jeden z owych dwóch kawalerow: nazywam ſię *Don Frydryk de Mandoi*, a móy zaś przeciwnik *Don Alwaro Ponſe*, kochamy ſię obydwa w *Donnie Teodorze*, w tey to damie, z ktòrąś ty tu przyſzedł, małe zawſze miała względy, na naſze uſługi, y chociaż ſtaraliśmy ſię dla niey powiękſzać przywiązania, przecież okrutnica, nie była na nas łaſkawſzą. Ja z mojey ſtrony, chciałem jey daley ſłużyć, mimo jey nieczułość, *Rywal* mòy, zamiaſt tego, coby miał podobnież uczynić, wyzwał mię na pojedynek.

Prawda, przerwał *Don Alwar*, oſądziłem to za rzecz potrzebną; y rozumiem, że gdybym nie miał Rywala, *Teodora*, ſkłoniłaby ſerce ſwoje do mnie. Chcę tedy odebrać życie *Don Frydrykowi*, ażebym

ſię

ſię pozbył człowieka tego, który jeſt zawadą ſzczęścia mojego.

Kawalerze, rzekł na to *Toledan*, nie chwalę ja twojego poſtępku, gdyż on obraża *Donnę Teodorę;* wkrótce rozgłoſi ſię to po Walencyi, że ſię biłeś dla niey, honor twojey damy powinien być droższym nad twoją ſpokoyność y intereſſa; a do tego, cóż za nadgrody, ten który zwycięży, może ſię ſpodziewać? zabiwſzy drugiego, zelżywſzy ſławę ſwey kochanki, czy możeſz ſobie podchlebiać, że od niey mile będzie przyjętym? co za zaślepienie! wierzcie mi, uczyncie rzecz godnieyſzą Imion waſzych, pohamuycie waſz gniew, y zezwolcie na ſpoſob ugody, który wam podam. Kłòtnia waſza, może ſię zakończy bez krwi wylania.

Jakimże to może ſtać ſię ſpoſobem, zawołał *Don Alwaro*? trzeba ażeby was ſama ta dama pogodziła,

od

odpowiedział *Toledan:* niech ktòrego z was ſobie obiera, a gdy ſię to już ſtanie, żeby ten, który będzie ofiarą odrzucenia, przeciwko ſwemu nie powſtając Rywalowi oddalił ſię, y nigdy już więcey nie przeſzkadzał.

Pozwalam na to, odpowiedział *Don Alwaro,* niech *Donna Teodora* wòy wyda wyrok; niech gdy chce, mnie obiera, lub mego nademnie przekłada Rywala, poprzyſięgam, że ſamo odrzucenie, znośnieyſze mi będzie, nad tę przykrą niepewność, w której ſię znayduję. Y ja z mojey ſtrony, odezwał ſię *Don Frydryk,* biorę niebo za świadka, że jeżeli to piękne ſtworzenie, ktòre adoruję, na moją nie ſkłoni ſię ſtronę, oddalę ſię od jey wdzięków, y gdy onych zapomnieć nie będę mógł, przynaymniey nie widząc, mniey czuć będę umartwienia y boleści.

W

W ten czas *Toledan* obracając ſię do *Donny Teodory*, Pani, rzekł jey, ty teraz maſz mówić: możeſz jednym ſłowem broń odebrać tym dwóm Rywalom. Wymień tylko tego, którego ſtałość chceſz nadgrodzić. Kawalerze, odpowiedziała dama: ſzukay innego ſpoſobu do pojednania onych: dla czegoż ja mam ſtać ſię ofiarą ich ugody? ſzacuję wprawdzie *Don Frydryka* y *Don Alwara*, ale ich wcale nie kocham; nie byłoby ſprawiedliwie, aby dla zapobieżenia uſzczerbku, który ten pojedynek memu przynieść może honorowi, miałabym czynić takowe nadzieje, które od ſerca mego potwierdzone być nie mogą.

Nie czas teraz z tym ſię taić o Pani, zawołał *Toledan*, trzeba koniecznie odkryć prawdę, a chociaż ci obay kawalerowie ſą młodzi y przyſtoyni, rozumiem jednak, iż dla jednego z nich, więcey muſiſz

mieć

mieć względow. Poznawałem to, po trwodze, którą z twoich wyczytywałem oczu.

Zle bardzo moją tłòmaczyfz trwogę: odezwała fię *Teodora!* ftrata jednego lub drugiego kawalera równie mię obchodziła: y chociaż niewinną oney byłabym przyczyną, zawfzebym ją fobie wyrzucała; lecz naywiękfzą było pobudką mego pomiefzania, obelga mojey reputacyi.

Don Alwar, który z natury był grubianin, ftraciwfzy nakoniec cierpliwość; już nadto tego, rzekł tonem złośliwym: ponieważ *Teodora* wzbrania fię tę rzecz łagodnie zakończyć, los broni nas rozfądzi: to mówiąc, porwał fię znowu do fzpady na *Don Frydryka*, który także z fwojey ftrony zaflaniał fię, broni jego razom.

Dama przelękniona więcey tym poftępkiem, niżeli nakłoniona przy-

wią-

wiązaniem, krzyknęła pomieſzana; ſtòycie kawalerowie, chcę uczynić zadoſyć waſzym żądaniom, ponieważ inſzego nie maſz ſpoſobu do zaſpokojenia waſzego pojedynku: y ocalenia mojey ſławy. Oświadczam tedy, że *Don Frydryk de Mandoi*, ma u mnie pierwſze mieyſce.

Gdy tylko te wymòwiła ſłowa, znieważony *Alwaro*, nic nie rzekłſzy, pobiegł do ſwego konia, ktòrego był do drzewa uwiązał, a wſiadłſzy na niego, tyſiąc piorunow rzucał przeciw ſwemu Rywalowi y kochance, y zniknął w momencie. Szczęśliwy *Mandoi*, przejęty był radością nieſkończoną, raz rzucał ſię do nòg *Teodory*, drugi raz ściſkał y całował *Toledana*, y nie mògł znaleść wyrazow dość doſtatecznych dla okazania im ſwojey wdzięczności.

Dama po odjeździe *Alwara*, była troche ſpokoynieyſzą, lecz ſądź

o jey ſmutku, gdy muſiała wybor czynić kawalera, ktorego wprawdzie ſzacowała przymioty, ale naymnieyſzego nie miała przywiązania.

Panie *Don Frydryk*, rzekła do niego: ſpodziewam ſię, że niezechceſz na złe używać pierwſzeńſtwa, ktòre nad twoim dałam ci Rywalem, potrzeba mię do tego przymuſiła, zawſzem ja wprawdzie więcey ciebie poważała, y wiem dobrze, iż nie ma on tych wſzyſtkich przymiotow, które ty poſiadaſz; jeſteś jeden z nayznacznieyſzych kawalerow Walencyi, ſprawiedliwie ci to przyznać mogę, powiem jeſzcze, że ſtaranie ſię takiego jak ty człowieka, mogłoby ſię każdey godney podobać kobiecie, lecz przyznam ſię, że gdyby naychwalebnieyſze być miało dla mnie, tak jeſtem na nie nieczułą, iż ſama ubolewam na to, widząc jak mię zbytecznie kochaſz. Nie odeymuję

ję ci jednak zewſzyſtkim nadziei nakłonienia kiedyżkolwiek ſerca mego, móy wſtręt y nieczułość, może pochodzić z smutku po ſtracie *Don Andrzeja Ciſuneta* męża mego, a chociaż niedługośmy z sobą mieszkali, y człowiek to był już dobrze podeszły w leciech, gdy moi Rodzice będąc zachęceni jego bogactwem, wydali mię za niego; żyłam z nim jednak bardzo dobrze, y ubolewałam ciężko nad śmiercią jego, y do dnia dziſieyszego w moim ſię nie mogę ukoić smutku.

Y czyż nie jeſt godzien mego żalu,dodała? nie był podobny tym ſtarcom przykrym y zawiſtnym, którzy nie mogą sobie wyperswadować, aby młoda żona, była im wierną, y aby im ich ſłabości wybaczać mogla, dla tego sami są ſtróżami ich krokow, albo mają na to umyślnie wysadzonych śpiegow; lecz ach! zupełną miał ufność w mo-

mojey cnocie; tak dalece, że młody mąż y aż nadto kochany, ledwieby mògł mieć podobną. Delikatność jego dla mnie była nieſkończona, y mogę mòwić, że za naywiękſze miał sobie ukontentowanie zgadywać moje myśli, y uprzedzać moje chęci. Taki to był *Don Andrzey de Ciſunet*; ſądźże z tąd *Don Frydryku*, że niełatwo można zapomnieć człowieka takiego charakteru; jeſt zawsze przytomny w moich myślach, y to jeſt bez wątpienia przyczyną, że niemam czułości na to wszyſtko, co dla mego czynią przypodobania.

Don Frydryk przerwał w tym mieyscu *Teodorze*, ach Pani zawołał! niezmiernie jeſtem kontent, co z twych uſt własnych ſłyszę, iż nie ze wſtrętu ku mojey osobie, dotąd gardziłaś mojemi uſługami, spodziewam ſię, że przyidzie kiedyżkolwiek ten dzień, w którym

mojey dasz ſię nakłonić ſtateczności. Nie przeczę temu bynaymniey, odpowiedziała dama, pozwalam ci zawsze mię nawiedzać, y twoje ponawiać przywiązanie; ſtaray ſię mi podobać, y pracuy nad tym, abym cię kochała. Nie będę ukrywać przywiązania, jeżeli one do ciebie powezmę, lecz jeżeli mimo twe ſtarania, nie będziesz mógł tego dokazać, pamiętay, iż ci nie zoſtanie prawo do czynienia mi zarzutow.

Don Frydryk chciał na to odpowiedzieć, lecz dama biorąc za rękę *Toledana*, do swego powròciła pojazdu: y proſto do Walencyi pojechała. *Toledan y Don Frydryk* wſiadłszy na swoje konie jechali za nią aż do Miaſta, gdzie ſię napotym rozłączyli, *Teodora* do domu swego *a Don Frydryk* zaprowadził *Toledana* do ſiebie.

Uczęſtowawszy go, y dawszy

mu

mu czas do spoczynku, pytał potym u niego: coby do Walencyi go sprowadziło, y jak długo tam bawić zamyślał? przejeżdżam tu tylko tędy, odpowiedział *Toledan*, dla tego, abym prędzey do morza przybył, gdzie myślę wśiąść w jak naypierwszy okręt oddalający się od brzegow Hiszpańskich. Mało dbam o to, gdzie mi przyidzie skończyć bieg mego nieszczęśliwego życia, aby tylko dalekim być od tak przykrego dla mnie kraju.

Co mowisz? zawołał *Don Frydryk* z podziwieniem? ktoż cię to przeciw własney twey zbuntował oyczyznie? czy możesz to nie nawidzieć, co wszyscy ludzie z natury kochają? po tym wszystkim co mi się przytrafiło, kray mi moy jest obrzydłym, niczego tak nie życzę, jak ażebym na zawsze go porzucił. Ach Kawalerze, zawołał

C2 *Man-*

Mandos! zdjęty politowaniem: bardzo jeſtem niecierpliwy wiedzieć o twoich przypadkach, jeżeli ich ci umnieyszyć nie będę mògł, przynaymniey chcę z tobą one dzielić. Twoje ułożenie, za pierwszym moim weyrzeniem, już mię zniewoliło, czuję to, iż los twòy bardzo mię intereſſuje.

Z wielką ochotą uczynię zadosyć twojemu żądaniu, odpowiedział *Toledan,* a zawdzięczając dobroć, ktòrą mi okazujesz, powiem także, że widząc cię dziś z *Don Alwarem,* serce moje na twoją ſkłoniło ſię ſtronę, y przeczuwałem to, że *Donna Teodora,* nad twego cię przełoży *Rywala,* y niezmiernie byłem kontent, gdym uſłyszał, iż na moim nie zawiodłem ſię rozumieniu. Poſtać, grzeczność, y ułożenie twoje, tak dobrze ſię w moim ugruntowały sercu, że zamiaſt ukrywania przed tobą moich przy-

pad-

padkow, chcę ci moją otworzyć duszę, y złożyć na łono twoje me przykrości, ſłuchay tedy mych nieszczęśliwości:

Toled jeſt mieyscem mego urodzenia, nazywam ſię *Don Juan de Zarate*, utraciłem jeszcze w dziecińſtwie tych, którzy mi dali życie; zacząłem tedy zawczasu rządzić ſię czterma tyſięcy czerwonych złotych intraty, ktòrą mi moi zoſtawili Rodzice. A ponieważ byłem Panem woli swojey, y rozúmiałem ſię być dość bogatym, umyślilem iść za ſkłonnością tylko w wyborze żony, a nie za interesſem. Pojąłem tedy za żonę jedną Panienkę wyborney piękności, nie zaſtanawiając ſię nad nierównością naszych majątkow y urodzenia. Niezmiernie byłem kontent z mego szczęścia, y ażebym lepiey mógł zażywać ukontentowania, dziedzicząc osobę, ktòrą nad mo-

je

je kochałem życie, w kilka dni po weselu wyjechaliśmy do wioſki, którą o kilka mil od *Toledu* miałem.

Zyliśmy tam w jedności y w zobopolnych affektach, gdy Xiąże *Naxera*, którego zamek był w bliſkości mojey wioſki, przyjechał do nas dnia jednego dla poſilenia ſię z polowania cało-dziennego, widział moją żonę y śmiertelnie ſię zakochał, poſtrzegłem to zaraz, y potym w moim mię mniemaniu to utwierdziło, że ſię ſtarał pilnie moją pozyſkać przyjaźń, czego do tych czas zaniedbywał. Brał mię zawsze z sobą na polowanie, obdarowywał prezentami, y wiele mi swych przyſług obiecywał.

Przywiązanie jego ku mey żonie, bardzo mię trwożyło; umyśliłem zaraz z nią do *Toledu* odjechać. Niebo bez wątpienia tę mi do serca myśl podawało; w rzeczy samey, gdybym był odjął Xiążęciu

spo-

sposobność widywania mey żony, uniknąłbym był tych nieszczęśliwości, które mi się przytrafiły. Ufność moja w niey ubeśpieczała mię, zdawało mi się rzeczą niepodobną, aby osoba, którą bez naymnieyszego pojąłem posagu, y niskiego urodzenia, mogla być tak niewdzięczną, aby moich zapomniała dobrodzieystw. Lecz ach! zle ją bardzo znalem; wyniosłość y próżność, dwie rzeczy, które są zwyczayne kobietom, były panujące w mojey żonie.

Jak tylko Xiąże znalazł sposobność uwiadomienia ją o swoim przywiązaniu, bardzo była kontenta, iż tak znaczne otrzymała zwycięstwo, względy człowieka, którego Jaśnie Oświeconym tytułowano; głaskały ją próżności, y napełniały umysł fałszywym blaskiem; więcey przeto sama się poważać zaczęła, a mniey dbać o mnie; to

wszy-

wszyſtko, co dla niey czyniłem, z pogardą przyimowała, patrzyła na mnie, jako na męża niegodnego jey piękności, zdawało ſię jey, że ten Pan, którego swemi ujęła wdziękami, uczyniłby ją był bez wątpienia swoją małżonką, gdyby ją znał przed zamęźciem. Zaślepiona tą głupią immaginacyą, y uwiedziona prezentami, zezwoliła na uſkutecznienie żądzy Xiążęcia.

Pisywali częſto do ſiebie, a ja o tym naymnieyszey nie miałem wiadomości, lecz nakoniec z mego wyszedłem zaślepienia. Dnia pewnego gdy powracałem z polowania wcześnie nad zwyczay, wszedłem do pokoju mey żony, od którey tak prędko spodziewany nie byłem: tylko co w ten czas odebrała billet od Xięcia, y zabierała ſię nań odpisywać; nie mogła ukryć pomieszania, które jey mòy sprawił widok. Zadrżałem na to,

a

a widząc na ſtole papier y attrament, poznawałem, że mię zdradzała. Przynaglałem ją do pokazania coby pisała, lecz tego żadną miarą niechciała uczynić, tak dalece, że byłem przymuszony do użycia gwałtu, dla uczynienia zadosyć zawiſtney mojey ciekawości. Wydarłem to pismo z rąk, mimo jey opieranie ſię. Był to billet Xiążęcia, w te napisany ſłowa:

Y pókiż będę oczekiwał powtórney z tobą ſchadzki, jakżeś okrutna! czyniſz mi zawſze nayſłodſze nadzieje, a tak późno je uſkuteczniaſz. Don Juan codziennie wyjeżdża na polowanie, albo do Toledu, y czemuż z tey nie profitujemy ſpoſobności? miey więcey względow na ten ogień, który mię trawi; lituy ſię nademną Pani, y uważay, że jeśli to jeſt ukontentowaniem otrzymywać czego żądamy, jeſt także nayWiękſzą boleścią, długo tego oczekiwać.

Nie mogłem kończyć czytania

tego

tego billetu bez gwałtownego poruszenia, y w mojey zapalczywości chciałem odebrać życie niewierney małżonce, która móy zelżyła honor. Lecz uważywszy, iż uraza moja większey wyciągała ofiary, ſtarałem ſię ile możności gniew móy ukryć; y rzekłem do mey żony dosyć spokoynie: moja Pani, zleś bardzo uczyniła, żeś ſię dała uwieść Xiążęciu, wysokość jego urodzenia, nie powinna była ciebie zaślepiać. Lecz młode osoby zawsze te powierzchowne lubią blaſki, chcę wierzyć, iż w tym tylko twóy jeſt wyſtępek; a inszey jeſzcze nie uczyniłaś krzywdy, dla tego wybaczam twey płochości: weydź sama w ſiebie, y w twoją powinność, a na moją szczegulnie bądź czułą miłość, y zawsze ją ſtaray ſię pomnażać.

Te kończąc ſłowa, wyszedłem z pokoju, tak dla zoſtawienia czasu

su przyiścia jey do siebie, jako też dla uspokojenia się w moim gniewie. A chociaż mojey nie mogłem zapomnieć obelgi, udawałem jednak minę spokoyną przez dni kilka; po których zmyślając, że niby jakiść interess odwoływał mię do *Toledu*: rzekłem do mojey żony: iż przymuszony byłem porzucić ją na jaki czas, y prosiłem aby pod moją niebytność miała pamięć na moją y swoją sławę.

Wyjechałem, lecz zamiast udania się do *Toledu*, wróciłem się nocą nazad do domu, y ukryłem się w pokoju naywiernieyszego mego sługi, zkąd widzieć mogłem wszystko, coby się w domu dziać miało. Nie wątpiłem bynaymniey, że Xiąże będzie uwiadomionym o moim odjeździe, y sądziłem, że się tam stawić nie zaniedba. Spodziewałem się ich spólnie nadybać y zupełną na ten czas uczynić zemstę.

Za-

Zawiodłem się jednak na moim mniemaniu: gdyż zamiast, coby się gotowano do przyjęcia Amanta, pozamykano drzwi z pilnoscią, y trzy dni upłynęły, a Xiąże, ani żaden z sług jego nie powstał. Perswadowałem więc sobie, że moja żona swego występku zapewne żałowała, y że nakoniec swego porzuciła Amanta.

Upewniony tą nadzieją, straciłem chęć zemsty, y oddając się poruszeniom miłości, którą gniew był przygasił, pobiegłem do pokoju mey żony, ściskałem ją serdecznie, y rzekłem: moja Pani, powracam ci móy szacunek y moją miłość, przyznaję się, że nie byłem w *Toledzie*, zmyśliłem tę podròż dla doświadczenia ciebie; daruy te podeyścia mężowi, którego zawiść nie była bez fundamentu. Obawiałem się, aby rozum twóy y serce przyćmione temi widokami, nie chciało się ode-

odemnie odwròcić; lecz dzięki niech będą Niebu; poznałaś twòy błąd, y spodziewam ſię, iż nic odtąd nie będzie trwożyć naszey spokoyności.

Moja żona, zdała ſię temi być przejęta ſłowy, zaczęła płakać, y rzekła do mnie: jakże jeſtem nieszczęśliwa! żem ci dała okazyą powątpiwania o mojey wierności; przeklinałam to, co ci było przyczyną do tak ſłusznego gniewu, oczy moje już od dwòch dni na łzy tylko są otwarte, wszyſtka moja boleść y żałość są daremne, bo już więcey nie będziesz miał we mnie ufności; będziesz ją zawsze miała, przerwałem zmiękczony jey zmartwieniem, nie chcę więcey o niczym przeszłym pamiętać, ponieważ ty tego żałujesz.

W rzeczy samey od tego momentu, miałem do niey te przywiązanie y te względy, jakie y przed

tym.

tym. Zacząłem kosztować ſłodyczy pokoju, który ſię był tak pomieszał, ſtał ſię jeszcze odtąd milszym, gdyż żona moja, niby chcąc wygładzić urazę z mego umyſłu, którą była sprawiła, więcey miała ſtarania, niżeli kiedy w przypodobaniu ſię mnie. Umizgi y kareſſy jey więcey miały żywości, y ledwo że nie byłem kontent z przykrości, którą mi pierwiey była uczyniła.

Pod ten czas zapadłem w chorobę, a chociaż nie była śmiertelną, żona moja niezmiernie ztąd zdała ſię być zmartwioną, przepędzała dni całe przy moim łóżku, a ponieważ w osobnym ſypiała pokoju, przybiegała kilka razy w nocy dla widzenia, jakem ſię miał. Nakoniec, wielką pokazywała pilność w uprzedzeniu pomocy, którey ja potrzebowałem; zdawało ſię, że jey życie od mego zawiſło: ja z

mo-

mojey ſtrony bardzo byłem czuły na wszyſtkie dowody przychilności, które okazywała, dziękowałem jey zawsze w naywdzięcznieyszych wyrazach; lecz ach! nie była tak szczera, jakom mniemał.

Jedney nocy, gdym już do ſiebie zaczął przychodzić, Kamerdyner wszedłszy do pokoju, przebudził mię; Panie, rzekł pomieszany: wybacz, że cię przebudzam, nadto jeſtem do ciebie przywiązany, że nie mogę zamilczeć, co ſię teraz w twoim dzieje domu; Xiąże *de Naxera* jeſt w pokoju twojey żony.

Wiadomość ta tak mię pomieszała, że mając przez czas niejaki oczy wlepione w mego ſługę, żadnegom nie mógł wymówić ſłowa. Im więcey myśliłem o tym, co mi donióſł, tym mniey temu wierzyć chciałem. Nie, *Fabiuſzu* rzekłem; to być nie może, aby ſię na taką zbrodnię żona moja odważyć miała, zapewne

nie

nie jesteś dobrze chyba wiadomym; Panie, odpowiedział *Fabiusz*: dałyby Nieba! aby ta rzecz była wątpliwa! lecz podeyrzenia, całe mię nie oszukują, od tego czasu jakoś zachorował, miałem porozumienie, że Xiąże co noc bywał u mojey Pani; a chcąc się w tym dostateczniey upewnić, zakradłem się w mieyscu do widzenia sposobnym, y już nie pierwszym raz tego dopilnował.

Na te słowa porwałem się jako piorun, wziąłem szpadę w rękę, y szedłem z pośpiechem do pokoju mojey żony wraz z *Fabiuszem*, który niosł świecę; na hałas, który naszym przyiściem zrobiliśmy, Xiąże na ten czas siedzący na łòżku, porwał się do pistoletow, ktòre miał w kieszeni, strzelił do mnie, lecz chybił, w ten czas posunąwszy się ku niemu z zapalczywością, utopiłem szpadę w jego sercu. Potym

rze-

rzekłem do mey żony, ktòra więcey była umarłą jak żywą, y tyś nieszczęśliwa y bezbożna! odbieray karę za twe przestępstwa y zdrady; mòwiąc to: przebiłem ją nawylot szpadą, ktòra jeszcze krwią jey Amanta była zbroczona.

Przeklinam moją porywczość, y zapamiętałość, *Don Frydryku*, przyznaję, że mògłbym był inaczey moją niewierną skarać małżonkę, nie odbierając jey życia; lecz ktòżby mògł się trzymać w granicach takowego przypadku? wystaw sobie zdradliwą kobietę, troskliwą w moiey chorobie, oświadczającą wszelkie dowody przyjaźni y przychylności, a ukrywającą serce zdradzieckie y niegodziwe; sądź tedy jeżeli nie można wybaczyć dla przyczyny jey śmierci? mężowi, ktòrego zapalczywość była sprawiedliwa.

Ażebym tę smutną historyą już zakończył, powiem ci, że wyko-

nawſzy moją zemſtę ubrałem ſię jak nayprędzey, y oſądziłem za rzecz potrzebną ujechania tajemnego z domu, pòkiby kto z Familii Xięcia, nie dowiedział ſię o jego zginieniu. A że znam ich wziętość u Dworu, przeto nie mógłbym być beśpiecznym chyba w kraju obcym; dla tego zabrawſzy co naydroższego, puściłem ſię przededniem w drogę z jednym tylko tym ſługą, który tak dobre dał dowody ſwojey wierności.

Jechałem proſto do Walencyi z tą myślą, abym wſiadł na pierwſzy okręt mający płynąć do Włoch, aż przejeżdżając dziś przez las, gdzieście y wy byli, ſpotkałem *Teodorę*, która mię proſiła, abym pomógł jey, was rozbronić.

Gdy *Toledan* te ſkończył ſłowa; *Don Frydryk* rzekł do niego: uznaję kawalerze, ſłuſznieſz ſię zemścił nad Xiążęciem, nie obawiay ſię ścigania

gania jego krewnych, możesz beśpiecznie w moim przemieszkać domu, czekając okazyi jechania do Włoch, gdyż nie rozumiem, aby to tak prędko nastąpić miało; Stryi móy jest Rządcą Walencyi, a przeto, mieysce to, beśpiecznieyszym będzie nad inne dla ciebie: y będziesz mieszkał z człowiekiem, który pragnie z tobą zjednoczyć się ścisłym węzłem przyjaźni.

Zarate, odpowiedział *Mendosowi*, w wyrazach pełnych wdzięczności, y przyjął schronienie w jego domu. Dziw się mocy sympatyi *Kleofasie*, mówił *Asmodeusz*, ci dway młodzi kawalerowie, tyle czuli do siebie przywiązania, iż w krótkich dniach tak ścisłą złączyli się przyjaźnią, jak niegdyś *Orest* z *Filadem*: z równemi przymiotami, jednakowe mieli humory y zdania, to, co się podobało *Don Frydrykowi*, było chwalono y od *Don Juana*, jednako-

we ich były charaktery duſzy, nakoniec ſtworzeni byli, aby ſię wzajemnie kochali. *Don Frydryk* tak wielkie upatrywał przymioty w ſwoim przyjacielu, że nie mògł zamilczeć jego pochwał przed *Donną Teodorą*.

Nawiedzali częſto obydwa tę damę, ktòra zawſze zimno przyimowała wſzyſtkie ſtarania *Mendoſa*, dziwnie on był tym zmartwiony, y częſto przed swoim żalił ſię przyjacielem, który dla pocieſzenia go, powiadał, że naynieczulsze kobiety, z czasem dają ſię zmiękczyć, y że trzeba, ażeby nie zbywało *Amantom* na cierpliwości, czekania tego pomyślnego czasu. Nie trać, mòwił daley do niego, nadziei prędko lub pòźno, twoja kochanka, zechce nadgrodzić ſtateczne twe przywiązanie. Te mowy nie cieſzyły jednak *Frydryka* bojaźliwego, lękał ſię, aby piękna jego wdowa, dla

niego

niego na zawſze nie była nieczułą; ta bojaźń, w wielką go pogrążyła melancholią: tak dalece, że *Don Juan*, ſzczere nad nim miał politowanie. Lecz wkrótce niemniey y jego ſtan był godzien użalenia.

Chociaż ten kawaler miał przyczynę nienawidzieć kobiet, będąc od ſwojey tak zdradzonym, nie mògł jednak na ſobie tego przewieść, aby nie kochał *Teodory;* z tym wſzyſtkim, dalekim był od poddania ſię ſwojey paſſyi, która jego obrażałaby przyjaciela, o tym tylko myślał, aby ją mógł przezwyciężyć. Poznawſzy, jednak, że ſię to inaczey ſtać nie mogło, jak oddalając ſię od tych oczu, które oney były przyczyną, umyślił więcey nigdy nie widzieć owey pięknej wdowy: y ile razy *Mandos* chciał go tam z sobą zaprowadzić, wynaydował zawſze racye do wymówienia ſię od tego.

Z

Z drugiey ſtrony za każdą *Don Frydryka* bytnością, *Teodora* nie omieſzkała pytać go, dla czego *Don Juan* razem z nim nie przychodził; dnia pewnego, gdy też ſame ponowiła pytanie: odpowiedział jey z uśmiechem, że przyjaciel jego ma ſwoje tego przyczyny; y cóż za przyczyny mieć może, zawołała *Teodora* unikania odemnie? Pani, odpowiedział *Mandos*, gdym go dnia dziſieyſzego chciał przyprowadzić, y niejakie upierania ſię jego pokazywałem zadziwienia, przyznał mi ſię jedney rzeczy, którą muſzę ci odkryć dla uſprawiedliwienia onego. Powiedział, że ma w Mieście kochankę, a że nie ma intencyi długo tu bawić, momenta ſą dla niego drogie.

Wymówka tą bynaymniey go nie uſprawiedliwia, odpowiedziała zarumieniona wdowa; y czyliż ci, którzy mają ſwoje kochanki, powin-

winni zapominać o przyjaciołach? *Don Frydryk* uważał zarumienienie *Teodory*, lecz rozumiał, iż to tylko z ſamey pochodziło próżności y nieukontentowania, że ją zaniedbywano. Ale ſię bardzo na ſwoim omylił zdaniu; gdyż coś ważnieyſzego nad próżność owego poruſzenia było przyczyną, lecz bojąc ſię, aby ſię z ſwemi nie wydała ſentymentami, odmieniła dyſkurs; y udawała dobry humor dla oſzukania przeniknienia *Mandoſa*.

A gdy już ſama zoſtała, w wielkim ſię zanurzyła ſmutku, czuła w ten czas moc przywiązania ſwego do *Toledana*, a rozumiejąc, że przychilność jego ku niey nie była wzajemną, zawołała wzdychając: co za nieſprawiedliwe nieba y okrutne? chcą koniecznie zapalać ſerca, które ſię z ſobą nie zgadzają; nie kocham *Don Frydryka*, który z miłości dla mnie umiera; pałam miło-

miłością dla *Don Juana*, a ten inney już ſwoje poświęcił ſerce, ach *Mandos!* przeſtań na moją ſkarzyć ſię oziębłość; przyjaciel twòy doſyć ſię za ciebie na demną zemścił.

To mówiąc, boleść y żałość, łzy jey obſite wyciſkały: lecz nadzieja, która oſładza przykrości *Amantów*, pochlebnemi ją cieſzyła wyobrażeniami; wyſtawiała przed oczy ſwą Rywalkę, y zdawało ſię, że nie była dla niey niebeſpieczną: *Don Juan*, mówiła ſama ſobie, może więcey jeſt przywiązanym do tey oſoby, przez jey powolność, niżeli przez jey wdzięki, y przymioty, a więzy takowe ſą bardzo ſłabe, łatwe do zerwania: chcąc ſię tedy doſkonale w tym uwiadomić, poſłała do *Don Juana*, aby ſię chciał u niey znaydować: co on nie omieſzkał uczynić. Gdy ſię już ſama z nim widziała: rzekła do niego w te ſłowa:

Ni-

Nigdym ſię tego nie ſpodziewała, aby miłość mogła być przyczyną do zapomnienia obyczayności, którą winien dla dam uczciwy człowiek; z tym wſzyſtkim kawalerze, już mię przeſtałeś nawiedzać, jakeś ſię zakochał. Zdajemi ſię, iż mam przyczynę o to na ciebie ſię żalić, lecz chcę wierzyć, że nie ſam z ſiebie odemnie unikaſz, twoja kochanka pewnie zakazała ci mnie widywać, przyznay ſię *Don Juanie*, a ja ci to wybaczę; wiem dobrze, iż *Amanci* nie zawſze ſą wolnemi w ſwych czynnościach, y że nie mogą ſtać ſię nieposłuſznemi ſwoim kochankom.

Pani, odpowiedział *Toledan*, przyznaję, że mòy poſtępek mògł cię zadziwiać, lecz nie nalegay na mnie, abym ſię miał przed tobą uſprawiedliwiać, przeſtań na tym, że mam przyczyny ſtronić od ciebie. Cóż to mogą być za przy-

czy-

czyny, odezwała ſię pomieſzana *Teodora*? chcę, abyś mię zaraz o nich uwiadomił. Pani, odpowiedział *Don Juan*: trzeba widzę być ci poſłuſznym: lecz wybaczyſz mi, gdy uſłyſzyſz może to, czegobyś wiedzieć niechciała.

Muſiał cię już uwiadomić *Don Frydryk* o przypadku, dla ktòrego opuściłem *Kaſtyllią*, oddalałem ſię od *Tòledu*, mając ſerce napełnione urazą do wſzyſtkich kobiet, przyſięgałem, że mię żadna odtąd do ſiebie pociągnąć nie potrafi; z tym pyſznym zdaniem, zbliżałem ſię do Walencyi, ſpotkałem ciebie, y co ſię może żadnemu jeſzcze nie przytrafiło męſzczyznie, patrzałem na piękność twoją bez naymnieyſzego poruſzenia. Lęcz ach! drogom tę pychę przypłacił; zwyciężyłaś na koniec; twoja piękność, twòy rozum, twoje wſzyſtkie przymioty, zoſtały głęboko wyra-

żo-

żone w umyśle buntownika miłości. Kocham cię nad moje życie, gdyż tego nie tylko odemnie, ale y od wfzyftkich godną jefteś.

Otoż tedy Pani, mafz przyczynę, ktòra mię od ciebie oddala. Ofoba, o którey ci powiedano, że kocham, jeft tylko rzeczą zmyśloną; uczyniłem to falfzywe przyznanie *Mandofowi*, dla zgładzenia podeyrzenia, ktòreby mògł mieć z opierania fię mego, ile razy chciał mię tu przyprowadzić.

Słowa te, których fię *Teodora* nie fpodziewała, wielką ją napełniły radością, tak dalece, że nawet ukryć jey nie mogła; prawda, że fię bynaymniey o to nie ftarała, y zamiaft furowego jakiego weyrzenia, mile na niego fwóy wzrok obròciła, y rzekła: jużeś mi tedy fwóy wyznał fekret, trzeba, żebym ci równie otwarcie, o moim powiedziała.

Nie-

Nieczułą będąc na miłość *Alwara Ponse*, mało tknięta przywiązaniem *Mandosa*, prowadziłam życie dość spokoyne, gdy przypadkiem spotkałam się z tobą w owym lesie, mimo pomieszanie, w którym na ten czas byłam, uważałam dobrze z jaką usilnością twoją mi ofiarowałeś przysługę, sposób, ktòrymeś ty tych dwóch zapalczywych pogodził Rywalów, dał mi poznać twóy rozsądek y twoją waleczność, to mi się tylko nie podobało, żem musiała obierać jednego ze dwóch, a do żadnego nie mając przywiązania. A żebym nic przed tobą nie ukrywała, wiedz o tym, że ty byłeś naywiększą przyczyną dla nich wstrętu mego, y w ten czas gdy przyniewolone usta wymawiały Imie *Don Frydryka*, serce moje *Don Juanowi* oddawało się. Od tego tedy dnia, ktòry nazwać mogę szczęśliwym, po takowym two-

twoim wyznaniu, twoje przymioty powiękſzyły ſzacunek móy dla ciebie.

Niechciałem moich przed tobą ukrywać ſentymentów, y opowiedziałem ci o nich z tąż ſamąż ſzczerością, z jaką powiedziałem *Mandoſowi*, że go nie kocham. Nieba podobno przeznaczyły nas jedno dla drugiego.

Po tych ſłowach dama zamilkła, zoſtawując do mówienia czas *Don Juanowi*, y do oświadczenia wdzięczności, którey ſię bez wątpienia za takowe wyznanie ſpodziewała; lecz zamiaſt okazania z tąd radości, ſtał ſię ſmutnym y zamyślonym.

Cóż to ja widzę, zawołała *Teodora!* ja dla oſłodzenia ci loſu, któregoby bez wątpienia kto inny zayzdrościł, zapominam przyzwoitości mego ſtanu, y okazuję duſzę y ſerce ſzczere, ty ſię zdajeſz być z

tego

tego niekontent? y zlodowaciałe zachowujesz milczenie; wyczytuję nawet smutek z twoich oczu; ach *Don Juanie!* jakże przeciwny skutek w tobie czynią moje dobroci! Pani, odpowiedział smutny *Toledan*, nie mogą innego czynić skutku w sercu takim jak jest moje: y tym jestem nieszczęśliwszy, im więcey dla mnie okazujesz przywiązania. Nie myślisz o tym co *Mandos* dla mnie czyni? wiesz dobrze, jak nas ścisły węzeł przyjazni jednoczy; czy możeż, mię czyniąc szczęśliwym, niszczyć jego nayslodsze nadzieje? bardzo jesteś delikatnym, odpowiedziała *Teodora*, jam nic nie przyrzekła *Don Frydrykowi*, mogę ci oddać moją rękę, nie zasługując na jego wymówki, y ty możesz ią przyiąć, nie czyniąc mu w tym krzywdy. Przyznaję, że wyobrażenie przyjaciela nieszczęśliwego, może cię zasmu-

ſmucać nieco; lecz *Don Juanie*! czy możeſzże ſię opierać temu ſzczęściu, które nas zobopolnie czeka?

Tak jeſt moja Pani, odpowiedział tonem mocnym! przyjaciel taki, jak jeſt *Mandos*, bardzo wiele u mnie waży, y gdybyś mogła znać wſzyſtkie naſze przywiązania, y mocy przyjaźni, ſamabyś nademną ubolewała. *Don Frydryk* z niczym ſię przedemną nie tai; intereſſa moje, ſtały ſię jego intereſſami. Słowem mówiąc: jeſt połową mey duſzy.

Jeśliś chciała, abym z twojey pożytkował dobroci, trzeba gdybym był wiedział o niey pierwiey, niżelim tak ściſłą zabrał przyjaźń; byłbym kontent z ſzczęścia podobania ſię tobie, y miałbym *Mandoſa* Rywalem moim. Serce moje ſtrzegłoby ſię jego przymilenia, y byłoby nań nieczułe, ani do wdzięczności obowiązane, z którą

mu

mu teraz jeſtem winien. Już poczaſie, przyjąłem od niego wſzyſtkie przyſługi, które mi tylko ofiarował, ſzedłem za ſkłonnością, którą miałem ku niemu; wdzięczność y przywiązanie tak mię ściśle wiążą, iż przymuſzają do tey okrutney potrzeby, nieprzyjęcia ſzczęścia, które mi ofiarujeſz.

Donna Teodora, która miała pełne łez oczy, dobyła chuſtki do otarcia onych; widok ten ſtrwożył *Teledana*, ſtateczność jego w przyjaźni chwiać ſię poczęła, y czuł, iż ſię już oprzeć nie mógł: wſtał tedy z mieyſca; byway zdrowa Pani, rzekł ſłowy przerwanemi wzdychaniem, byway zdrowa, nie mogę twoich znieść łez, bardzo cię niebespieczną dla mnie czynią, chcę ſię oddalić od ciebie na zawſze, y opłakiwać ſtratę tylu wdzięków, które, moja nieprzełamana przyjaźń chce mieć ofiarą. Kończąc te ſłowa,

wa, wyſzedł z oſtatkiem ſtałości, na ktòrey utrzymanie doſyć zażył pracy, y paſſowania ſię umyſłu.

Po jego odeyściu, *Teodora* tyſiącznemi wzruſzona nieſpokoynościami, wſtydziła ſię, że odkryła ſwòy affekt przed człowiekiem, ktòrego otrzymać dla ſiebie nie mogła, nie wątpiła jednak o tym, że był jey poruſzony wdziękami, y że interes tylko przyjaciela, nie dozwalał mu przyjąć ręki od niey ofiarowaney, tyle miała rozumu, iż zamiaſt coby ſię tym urażać miała, zadziwiła ſię nad tak rzadkim przyjaźni przykładem. A że to być nie może, aby rzeczy, które przeciwko naſzym idą chęciom, nie miały nas zaſmucać; umyśliła tedy ta piękna wdowa, wyjechać na zajutrz na Wieś, dla rozerwania ſwojego umartwienia, czyli raczey dla powiękſzenia onego; gdyż oſobność, prędzey y więcey miłość wzmacnia, niżli oſłabia.

Don Juan z swojey strony, nie znalazłszy *Mandosa* w domu, zamknął się w swym pokoju, y zanurzył się cały w smutku y boleści. Rozumiał, iż mu to przynaymniey wolno było, po uczynioney tak wielkiey ofierze dla swego przyjaciela. Lecz *Don Frydryk* przyszedł w krótce rozerwać jego melancholią, a poznawszy przyjacela, że był pomieszany, tak wielkie z tąd ukazywał nieukontentowanie, że nakoniec *Toledan* dla zaspokojenia onego, musiał udać, iż jest słaby, y że potrzebował spoczynku. *Mandos* wyszedł zaraz dla zostawienia swego przyjaciela w spokoyności; lecz wyszedł z twarzą tak smutną, iż *Toledan* żywiey czuć zaczął swoje nieszczęście. O nieba zawołał! y dla czegoż dopuszczacie, aby jeden naywiększy z mych przyjaciół był przyczyną nieszczęścia całego życia mego!

Dnia następującego, niżeli jeszcze

ſzcze wſtał *Don Frydryk*, donieſiono mu, iż *Donna Teodora* z całym ſwoim Dworem wyjachała do zamku ſwego *Willareal*, y że nieprędko z tamtąd powròcić miała. Nietylko ta nowina ſmuciła *Don Frydryka*, że ſtracił z oczu kochaną oſobę, ale y to, iż mu o odjeździe ſwoim nie wſpomniała. Niewiedział, jak o tym rozumieć, y złe ſobie wnioſki rokował.

Wſtał y poſzedł do ſwego przyjaciela, tak dla donieſienia mu tey nowiny, jakoteż dla dowiedzenia ſię o jego zdrowiu, zaſtał go już ubranego, który idąc przeciwko jemu rzekł: chcę pozbawić nieſpokoyności, którą ſię moja nabawiła ſłabość, zdrów już jeſtem. Ta dobra nowina, odpowiedział *Mandos*, cieſzy mię po złey, którąm dziś odebrał. *Toledan* pytał ſię coby to było? w ten czas *Don Frydryk* rzekł: *Donna Teodora* odjachała dziś na Wieś, y nieprędko ma powrócić, odjazd

E2 ten

ten dziwi mię bardzo; dla czego go przedemną tajono? cóż myślisz o nim *Don Juanie*? nie mamże przyczyny smucić się z tego?

Zarate niechciał powiedzieć, co o tym rozumiał, cieszył tylko *Mandosa*. *Donna Teodora*, mówił, mogła wyjachać na Wieś, dla jakiego pilnego interessu, y że nie miał przyczyny z tego tak bardzo się smucić; *Don Frydryk* mało był zaspokojony temi perswazyami. Wszystkie te mowy, odpowiedział, nie mogą wygładzić moiey bojaźni, musiałem co wykróczyć, a to się nie podobało bez wątpienia *Teodorze*. Porzuciła mnie, dla ukarania za to, niechcąc przynaymniey o moim mię uwiadomić występku.

Niech będzie, jak chce, odpowiedział *Mandos*: nie mogę w tey długo zostawać niepewności, jedźmy kochany przyjacielu, jedźmy do niey; wybieray się, a ja tym czasem każe gotować pojazdy. Ja ci radzę

dzę

dzę, rzekł *Toledan*: abyś nikogo z ſobą nie brał, *Donna Teodora* zapewne przy świadkach nie uwiadomi cię o niczym. Nie będzie tam nic zbytecznego, choć ſię tam *Don Juan* znaydować będzie, odpowiedział *Don Frydryk*: *Teodora* wie dobrze o tym, że tobie nie ſą tayne naywiękſze ſkrytości ſerca mego, ſzacuję cię bardzo, y zamiaſt, żebyś miał być tam uprzykrzeniem, pomożeſz mi gniew jey ułagodzić.

Nie, *Don Frydryku*, zawołał *Toledan*: przytomność moja, na nic ci ſię nie zda, y w niwczym nie pomoże. Ach nie pozwolę na to! odpowiedział *Mandos*: pojedziemy razem, czekam tey uczynności po twojey przyjaźni; co za okrucieńſtwo! zawołał *Toledan* tonem ſmutnym y pomieſzanym: na cóż wyciągaſz po mey przyjaźni tego, co ci żadną miarą uczyniono być nie może?

Słowa te, ktòrych *Don Frydryk*

nie

nie mògł zrozumieć, ton żwawy, którym były wymówione, zdziwiły go; còż to ma znaczyć *Don Juanie!* co dopiero słyszałem? còż za okrutne podeyrzenia w moim się wzniecają rozumieniu? ach już nadto twego milczenia! y mey niewiadomości, mów, co za przyczyna, że się wzbraniasz jachać ze mną? zaklinam cię na wszelkie obowiązki przyjaźni, y na twóy charakter, abyś mi prawdę chciał powiedzieć.

Chciałem ją przed tobą ukryć, odpowiedział *Toledan*, ale ponieważ mię przymuszasz do wydania oney, powiem tedy, nic nie tając: zgadzamy się kochany przyiacielu w naszych czuciach; wdzięki, które ciebie raniły, nie minęły y twego przyjaciela; *Donna Teodora*.... O nieba! y tyż masz być moim Rywalem! przerwał zedrżeniem zbledniały *Mandos*: zaczekay troche, odpowiedział *Don Juan*: niech resztę do-

po-

powiem. Jak tylko poznałem moją miłość, unikałem od piękney wdowy, wszakeś mię sam nieraz o to strofował; przezwyciężałem moją passyą, ale nie mogłem jey z serca wygładzić.

Wczoray przysłała *Teodora* po mnie, ja poszedłem zaraz do niey, pytała się: dla czegobym u niey nie bywał, zmyślałem exkuzy, lecz ona je odrzucała, y tak na mnie nalegała, iż nakoniec wyznać musiałem przyczynę. Rozumiałem, iż po takowym wyznaniu, pochwali zamysł, w stronieniu od niey. Lęcz przez dziwne rozrządzenie mego losu, mamże ci powiedzieć *Mandos*? mamże przed tobą wyznać? *Teodora* do mnie swe skłoniła serce.

Chociaż *Don Frydryk* nayspokoynieyszego był ułożenia, do nayweiększey jednak zapalczywości tym był pobudzony wyznaniem: a przerywając w tym mieyscu swemu przyjacielowi, stóy *Don Juanie*, zawo-

wołał, wydrżyi mi raczey ſerce z wnętrzności, aniżelibyś miał tę nieſzczęśliwą dla mnie kończyć powieść; nie przeſtajeſz na tym, że ſię moim być wyznajeſz Rywalem, donoſiſz mi jeſzcze, że jeſteś kochanym. O Nieba! na jakąż okrutną probę, naſzą wyſtawiacie przyjaźń! tyś ją o *Toledanie* zgwałcił, zachowując tylko zdradliwe ſentymenta, któreś mi oświadczał.

Jakiż móy był błąd! rozumiałem cię być wſpaniałym y ſzczerym, a ty nie jeſteś, jak tylko fałſzywym y obłudnym przyjacielem, ponieważ śmiałeś wzniecać w ſercu twoim tę miłość, która mię obraża; tym cięższy jeſt ten raz dla mnie, że go z nieſpodzianey odbieram ręki.

Bądź dla mnie ſprawiedliwſzym odpowiedział *Toledan:* poſłuchay mię moment cierpliwie, nie jeſtem fałſzywym przyjacielem, jak mię nazywaſz, na nic mnie, jak na tę

zaſłu-

zasługuję imie; słuchay, a będziesz żałował swojey porywczości.

W ten czas zaczął opowiadać, co się między nim a *Teodorą* stało; powiadał, jakim sposobem ta piękna wdowa perswadowała mu, aby się bez skrupułu swey oddai passyi, powtarzał także odpowiedzi, które dawał, y z jaką stałecznością w tym razie postąpił. Gniew *Don Frydryka* zniknął, a przyjaciel jego, tak swą kończył mowę: przyjaźń nakoniec górę wzięła nad miłością, niechciałem przyjąć ręki *Teodory;* płakała z żalu y nieukontentowania, lecz o Nieba! jakże łzy jey, były dla mnie niebespiecznemi! w jakąż trwogę moją wprawiały duszę? nie mogę jeszcze bez drżenia tego wspomnieć momentu, w jakim w ten czas zostawałem niebespieczeństwie; czułem, żem się już stawał okrutnym, y w pierwszym tym poruszeniu, przyznaję ci się *Mandos*, iż serce moje dla ciebie było już niewierne.

Lecz

Lecz nie poddałem się mey słabości, ratowałem się z niey przez śpieszną ucieczkę, nie można było inaczey postąpić, przed temi niebespiecznemi łzami. Lecz niedosyć to na tym, żem raz uniknął niebespieczeństwa, trzeba się go y napotym obawiać, niechcę więcey wystawiać się na weyrzenia *Teodory*, muszę ztąd jak nayprędzey wyjechać. Y czyż jeszcze po tym wszystkim będziesz mię miał *Don Frydryku* za niewdzięcznego y obłudnego?

Nie, móy kochany przyjacielu, odpowiedział ściskając go *Mandos*: przywracam ci twoją niewinność, otwieram teraz oczy, poznaję twoją zacność, przebacz pierwszy impet Amantowi, któremu całą jego odbierano nadzieję. Y jakżem ja nie miał znać tego? że *Donna Teodora* nie będzie mogła długo zapatrywać się na ciebie bez zakochania się? y że się jey podobają te wdzięki y przymioty, które y serce moje zniewoliły.

woliły. Prawdziwym cię uznaję przyjacielem, nie wkładam mego nieſzczęścia, jak tylko na nieprzyjazną fortunę. Przywiązanie moje ku tobie, coraz ſię więcey pomnaża. Y jakże ty wzbraniaſz ſię przyjąć rękę *Teodory*? ty tę tak wielką ofiarę dla mey czyniſz przyjaźni? a jabym tym nie miał być poruſzonym? ty chceſz ſwoją przezwyciężać miłość? a jaż to nie mam ſię ſtarać o przezwyciężenie mojey? nie, trzeba żebym był wzajemnie dla ciebie wſpaniałym. Przyjacielu idź za ſwoją ſkłonnością, bierz za żonę piękną wdowę, zaklinam cię na wſzyſtkie obowiązki przyjaźni, niechay ſię ſerce moje temu ſprzeciwia, ale *Mandos* koniecznie tego po tobie wyciąga.

Daremnie mnie do tego nagliſz, odpowiedział *Zarate*: przyznaję, że ją kocham ſerdecznie, lecz twoja ſpokoyność drożſza jeſt u mnie, niż moje właſne ukontentowanie. A ſpo-

ſpokoyność *Teodory*, odezwał ſię *Don Frydryk*, tak to dla ciebie jeſt obojętną? nie podchlebiaymy ſobie już, przywiązanie jey ku tobie, niczego mi ſię od niey ſpodziewać nie każe, gdybyś ſię nawet od niey oddalił, dla uſtąpienia jey mnie; prowadziłbyś odległy życie opłakane, a jabym nie był przeto ſzczęśliwym. Ponieważ nie mogłem ſię jey dotąd podobać, zapewne już ſię jey nigdy nie podobam. Niebo dla ciebie to zachowało ſzczęście, ona cię kocha od pierwſzego momentu poznania, nigdy pewnie o tobie nie zapomni, ſkłonność jey z ſamey tylko natury inſtynktu pochodzi, ſłowem mówiąc: nie może być ſzczęśliwą, chyba z tobą. Przyimi tedy jey rękę, którą ci ſama oddaje, uſkuteczni jey y twoje życzenia, porzuć mię mojey nieſortunie, niechciey czynić trzech oſob nieſzczęśliwemi, niech ſię zwali na jednego przeciwność okrutnego loſu.

Aſmo-

Asmodeusz w tym mieyscu był przymuszonym przerwać swoią powieść; dla słuchania *Zambullona*, który rzekł do niego: to, co mi powiadasz, zadziwia mię: y czyliż w rzeczy samey są ludzie tak pięknego charakteru? Ja nie widzę jak tylko przyjaciół kłòcących się, nie mòwię, o tak zacne Damy, jak *Teodora*, ale o naypodleysze kokietki; Amant, możeż on porzucać osobę, którą szczerze kocha, y od którey wzajemnie jest kochanym? dla tego tylko, aby swego przyjaciela uczynił nieszczęśliwym? ja o podobnych nie słyszałem przyjaciołach, chyba w historyach; gdyż tam malują ludzi, nie takiemi jak są, lecz jak być powinni. Prawda, odpowiedział Diabeł, że takowe zdarzenia, są bardzo rzadkie, z tym wszystkim, nie tylko są w historyach, ale mogą być y między ludźmi poczciwego charakteru. To pewna, że ja sam tylko o dwóch takowych przypadkach

słysza-

ſłyſzałem; ale wróćmy ſię do naſzey hiſtoryi.

Ci dway przyjaciele nie przeſtawali czynić ſobie ofiary ſwojey paſſyi, a jeden drugiego niechciał uſtępować wſpaniałości, ich ſentymenta w miłości zawieſzone zoſtały, do niejakiego czaſu przeſtali wzajemnie wſpominać przed ſobą o *Teodorze*, nie śmieli nawet wymówić jey imienia, lecz pod ten czas, gdy przyjaźń zwycięſtwo nad miłością odnoſiła, miłość mſzcząc ſię tego, gdzie indziey z okrucieńſtwem panowała.

Donna Teodora poddawała ſię paſſyi w ſwym Zamku *Willareal*, który nad morzem był położony, myślała zawſze o *Don Juanie*, y miała nadzieję być kiedyżkolwiek jego małżonką: czego ſię nie powinna była ſpodziewać, znając delikatność ſentymentów przyjaźni dla *Don Frydryka*.

Dnia jednego, gdy po zachodzie ſłońca z ſwoią Panną nad brzegiem

ſię

się morskim przechodzała, postrzegła bat do brzegu zbliżający się, uważała, iż w owym bacie siedmiu lub ośmiu było ludzi, bardzo z szpetnemi twarzami, lecz przypatrzywszy się z pilnością, poznała że byli w maskach, y dobrze uzbrojeni.

Na ten widok zadrżała, a obawiając się, aby się jey co ztąd złego nie przytrafiło, zaczęła śpiesznym krokiem powracać do domu, a obròciwszy się w tył, postrzegła, że ciż ludzie wysiadłszy, poczęli ją gonić, zaczęła tedy ze wszystkiey swey uciekać mocy, ale ponieważ nie mogła tak dobrze biegać jak *Atalanta*, była dogonioną przy samey bramie Zamkowey, y porwaną.

Teodora y Panna zaczęły strasznie krzyczeć, ten krzyk sprowadził wszystkich domowników, którzy uzbrojeni dzidami y kijami, wypadli bronić swoją Panią, pod ten czas dwòch naymocnieyszych z owych masek ludzi, porwawszy Panią y sługę

gę, ponieśli do batu: a reszta została się dla dania odporu ludziom zamkowym, którzy na nich żwawie nacierali, lecz nakoniec ludzie batowi rozpędziwszy zamkowych, powracali do morza. Jeszcze byli w bat nie wsiedli, gdy pokazało się kilku męszczyzn od Walencyi śpieszących się dla dania pomocy *Teodorze*. Na ten widok łotrowie tak się uwinęli, że pośpiech y staranie kawalerów były daremne.

Ci kawalerowie byli: *Don Frydryk*, y *Don Juan*, którzy dniem przedtym odebrali byli listy ostrzegające o porwaniu *Teodory* przez *Alwara Ponse*, y że ją na wyspę *Minorkę* miano zaprowadzić. Na tę wiadomość *Toledan* y *Mandos*, wziąwszy z sobą ludzi, jechali dla uwiadomienia *Teodory* y dania jey pomocy, zdaleka już byli postrzegli bat na morzu, domyślać się poczęli, że to musiał być *Alwaro*, dla tego śpieszyli się, aby mu wydrżeć z rąk kochaną

chaną

chaną wdowę, lecz mimo ich usilność, świadkami tylo zostali porwania *Teodory*.

Pod ten czas *Alwaro Ponse* nadęty pomyślnością swego postępku, oddalał się od brzegów z swą zdobyczą, bat przybliżał się do jednego małego okrętu, który go na śrzodku morza czekał, gdzie potym wszyscy przesiedli. Nie można sobie większego bolu y rospaczy wystawić, w jakim się *Don Juan* y *Don Frydryk* znaydowali, tysiąc złorzeczeństw miotali na *Alwara*, y napełniali powietrze próżnemi lamentami. Wszyscy słudzy *Donny Teodory* pobudzeni ich przykładem, bardzo lamentowali, y brzegi morskie pełne były ich krzykow. Zapalczywość, rospacz y zamieszanie w tym panowały Zamku: tak dalece, że ci, którzy porwali *Helenę*, tak wielkiego na Dworze Sparthy, nie uczynili zamieszania.

ROZDZIAŁ TRZECI.

Dalſza kontynuacya, y koniec hiſtoryi o mocy przyjaźni.

A chociaż ſłudzy *Donny Teodory,* nie mogli obronić jey od porwania, przecież odważnie ſię opierali, y ten opor był nieſzczęśliwy dla kilku ludzi *Alwara Ponſe,* jeden z nich niebeſpiecznie raniony zoſtał, leżał wyciągnięty na piaſku, prawie jak bez duſzy, ten był naywiernieyſzym z ſług jego. A ponieważ jeſzcze dyſzał, zanieſiono go do Zamku, y pilne o nim miano ſtaranie. Przyſzedł nakoniec do ſiebie; ale był jeſzcze ſłabym dla zbytecznego krwi ſpłynienia; ażeby więc zachęcili go do opowiedzenia, przyobiecali mu, iż będą mieli ſtaranie o dalſzym zachowaniu jego życia, y że go nie wydadzą na oſtrość ſądu, jeśliby chciał im ſzczerze wyznać, gdzie Pan jego miał zaprowadzić *Teodorę.*

Ucie-

Ucieſzony tą obietnicą, chociaż w tym ſtanie, w jakim ſię on znaydował, na mało mu ſię to przydało, zgromadziwſzy tedy wſzyſtkie swe ſiły, głoſem bardzo ſłabym opowiadał: iż *Don Alwar* miał zaprowadzić piękną wdowę do *Sazaryi*, na wyſpie *Sardyńſkiey*, gdzie miał ſwego krewnego, którego protekcya y powaga, pewne mu obiecywała ſchronienie.

Ta wiadomość pocieſzyła zdeſperowanych *Mandoſa* y *Toledana*, porzucili tedy owego chorego w Zamku, który w kilka godzin po ich umarł odjeździe, a ſami powrócili do *Walencyi* dla rozważenia, jak mieli ſobie w tym poſtąpić. Umyślili tedy wſzędy ścigać ſwego zobopolnego nieprzyjaciela, wſiedli w bat, a przyjechawſzy do wielkiego Portu *Malion*, znaleźli okręt mający płynąć do *Sardynii*, nie zaniedbali z tey korzyſtać ſpoſobności.

Okręt popłynął bardzo pomyśl-

nym wiatrem, lecz w kilka godzin po odbiciu się od brzegu, straszna powstała nawalność, ktòra przez noc całą trwała, nazajutrz wiatr był przeciwny, tak dalece, iż nie mogąc płynąć, musieli rzucić kotwice, y trzy dni na onym zostać mieyscu; czwartego dnia z rana postrzegli okręt zbliżaiący się, rozumieli z razu, iż to był okręt kupiecki; lecz za przybliżeniem się onego poznali, że to byli morscy rozboynicy.

Nie mylili się bynaymniey w swoim zdaniu, gdyż to był jeden z rozboynikow z *Tunis*, rozumiał iż chrześcianie bez żadnego poddadzą się oporu, lecz postrzegłszy, iż się mieli do obrony, zaczął także się do potrzeby gotować.

Wszczęła się tedy bitwa, szczęście zrazu na stronę chrześcian nakłaniało, lecz rozboynik z *Algieru* przybył na pomoc z okrętem większym y obronnieyszym, y gdy się *Hiszpani* z jedney strony potykali, on

on z drugiey kazał ich podpalić okręt. Na ten widok Chrześcianie ſtracili odwagę, a znaiąc, iż ich opieranie ſię na nicby ſię nie przydało, nie myślili więcey o obronie. Porzucili ſię żalowi, który wyobrażenie niewoli może uczynić w ſercach wolnych oſob. Kapitan okrętu obawiaiąc ſię, aby dłużſze opieranie ſię, nie uczyniło dla nich zwyciężców okrutnemi oddał broń rozboynikowi z *Algieru*.

Ten łupieżca rozkazał ſwoim żołnierzom, aby przeyrzeli okręt *Hiſzpańſki*, to jeſt: żeby ze wſzyſtkiego obdarli; Rozboynik z *Tuniſu*, toż ſamo ſwym rozkazał ludziom. Wkrótkim czaſie, wſzyſcy będący na okręcie *Hiſzpańſkim*, byli zewſzyſtkiego odarci, broń im odebrano y przeprowadzono na okręt *Algierſki*, gdzie ci dway rozboynicy przez loſy, ſwoią dzielili ſię zdobyczą.

Toby przynaymniey cieſzyło

Man-

Mandosa y jego przyiaciela, gdyby śię byli obydwa w ręce jednego dostali rozboynika, więzy dla nich byłyby letszemi; lecz fortuna wszystką swoią na nich wywrżeć złość chciała. Oddała *Don Frydryka* rozboynikowi z *Tunisu*, a *Don Juana* rozboynikowi z *Algiera*. Wystaw sobie rospacz tych dwòch przyjaciół, gdy im śię przychodziło rozłączyć. Rzucali śię do nog łupieżcòw, y zaklinali ich, aby nie byli rozdzieleni. Lecz zbóycy do okrucieństwa przyzwyczajeni, nie dali śię zmiękczyć, a przeciwnie rozumiejąc, iż ci dway niewolnicy, znakomite były osoby, y spodziewając śię od nich wielkiego okupu, umyślnie ich zaraz rozłączyć kazali.

Mandos y *Zarate*, widząc: iż z nielitościwemi sercami mieli do czynienia, okazywali sobie choć przez weyrzenia wielkość swych boleści, lecz gdy już skończono dział łupu, y rozboynik *Tuniński*, chciał do

swych

swych powracać brzegów z niewolnikami y sprzętami, które się dostały; ci dway wierni przyjaciele, rozumieli, iż ostatnia już dla nich przyszła godzina; *Mandos* zbliżywszy się do *Toledana*, ściskał go serdecznie, y rzekł: y jakże! myż to mamy się rozłączyć? co za straszny przymus! co za okrutna potrzeba! niedosyć jeszcze na tym, że śmiałość y występek *Alwara*, nie jest ukaranym, lecz zabraniają nam łączyć nasze płacze y narzekania! ach *Don Juanie!* cóżeśmy takiego wykroczyli przeciwko Niebu, że na nas strasznie gniew swóy wywiera; nie szukay gdzie indziey przyczyny nieszczęścia, odpowiedział *Toledan*: ja onego jestem bez wątpienia przyczyną, krew dwóch osob, w którey moje broczyłem ręce, chociaż może być wymówiona przed ludźmi, woła jednak o pomstę do Nieba, a te może y ciebie razem karze, żeś zabrał przyjaźń

z

z nieſzczęśliwym, którego ſwą ściga ſprawiedliwością.

To mówiąc obfite łzy wylewali, ſmutek ich y wzdychania tak były poruſzające, że zmiękczyły wſzyſtkich więźniów, którzy niemniey ich nieſzczęściem, jak ſwoim byli przejęci. Lecz żołnierze z *Tuniſu*, okrutnieyſi, niżli Pan onych, widząc iż *Mandos* ociągał ſię wychodzić z okrętu, wydarli go gwałtem z rąk *Toledana*, y wlekąc za ſobą, okładali razami; byway zdrów kochany przyjacielu, rzekł jeſzcze *Don Frydryk* głoſem płaczliwym, już ſię więcey nie obaczemy, nie zemściliśmy ſię za *Teodorę*, to mię naywięcey boli, a te poſtępowania, które zemną czynią, naymnieyſzemi będą przykrościami w mojey niewoli.

Don Juan nie mógł na tę nic odpowiedzieć ſłowa; poſtępowanie tych Barbarzyńców z jego nayukochańſzym przyjacielem, taką jego

go ſerce przejęło żałością, iż ſtraciwſzy zmyſły, padł na ziemię. Zoſtawmy teraz mówił daley *Aſmodeuſz*, *Don Frydryka* na nawie *Tuniſkiey*, a wròćmy ſię do *Toledana*.

Zbòycy *Algierſcy* powròciwſzy do ſwego portu, zaprowadzili niewolnikòw do *Baſzy* ſwego, a potym na rynek, gdzie miano zwyczay przedawać, jeden Officyer Rządzcy *Algieru* nazwanego *Mezomorto*, kupił *Don Juana* dla Pana ſwego, u ktòrego na pilnowanie ogrodu był oddany. Ta czynność chociaż przykra dla człowieka zacnego y wolnego, była doſyć przyjemna *Don Juanowi*, dla tego, iż w niey ſpokoyność y oſobność panowała. W ſtanie, w ktòrym ſię znaydował, nic mu nie mogło być milſzego, jak uſtawiczne rozważanie ſwych nieſzczęśliwości, zawſze o nich myślał: y zamiaſt wybicia ſobie z głowy ſmutnych wyobrażeń, uſtawnie je ſobie na umyśle ryſował.

Dnia

Dnia pewnego nie poſtrzegłſzy Rządcy przechodzącego po ogrodzie, zaczął ſmutnie śpiewać. *Mezomorto* z pilnością ſię przyſłuchywał, że mu głos niewolnika ſię podobał, przybliżywſzy ſię ſpytał, jakby go zwano? *Alwarem*, odpowiedział, (gdyż doſtawſzy ſię w niewolą wziął to imie) *Mezomorto*, który doſyć dobrze po Hiſzpańſku rozumiał, różne mu zadawał pytania względem zwyczajòw y obyczajów kraju jego Hiſzpańſkiego, a oſobliwie, jakim ſpoſobem męſzczyźni ſtarają ſię podobać kobietom. *Don Juan* odpowiadał mu tak mile y roſtropnie, iż Rządca dziwnie z tego był kontent.

Alwarezie! rzekł mu *Mezomorto*, poznaję, iż maſz rozum, y domyślam ſię, że nie jeſteś z poſpolitego gminu, a na reſzcie, bądź ſobie czym chceſz, wiedz tylko o tym, żeś mi ſię podobał. Na te ſłowa *Don Juan* rzucił ſię do nòg Rządcy,

y

y naywdzięcznieyſzemi dziękował słowy. Ażebym zaczął dawać dowody moiey ku tobie łaſkawości, rzekł *Mezomorto*: powiem ci, iż mam w moim *Seraju* naypięknieyſze kobiety z Europy, jedna jeſt między niemi nieporòwnaney urody, zdaje ſię, iż twarz jey podobna jeſt do słońca wypogodzonego, wzroſtem y talią do młodego podobna *Cypryſſu*, białością przechodzi lilie, a rumieńcem ròże, nad moje ją kocham życie w zachwycenie mię porywa, jak żyję, takiey nie widziałem piękności.

Lecz ten cud natury, przy tak rzadkiey urodzie w głębokim jeſt pogrążony ſmutku, którego ani czas, ani miłość moja odmienić nie może, a chociaż ją los mym poddał chęciom, jeſzczem ich nie uſkutecznił; ſtarałem ſię one przezwyciężyć, mimo zwyczaju Panòw Tureckich, którzy tylko ſwych żądz ſzukają ukontentowania.

nia. Chciałem pierwiey jey nakłonić ferce przez delikatność przymilenia fię, y uniżonności takie, których podobno naylichfzy *Muzułman* wftydziłby fię czynić dla niewolnicy Chrześcianki.

Z tym wfzyftkim, ftarania moje powiękfzają tylko jey melancholią, a upor już mi fię zaczyna przykrzyć. Wyobrażenie niewoli, nigdy u żadney z nich tak głęboko na umyśle nie było wyryte, względy moje, ofładzały ją im, lecz boleść y nieupamiętanie tey niewolnicy, już moją krócą cierpliwość. Niżeli jednak moim fię poddam paffyom, chcę twey użyć pomocy; ponieważ ta niewolnica, jeft Chrześcianka, y z jednego z tobą kraju, może zabrać do ciebie poufałość, ty możefz lepiey, jak kto inny jey perfwadować, zachwalay przed nią moją godność y doftatki, upewniy ją, że w więkfzym nad inne niewolnice będzie poważe-

niu,

niu, y że na koniec może się stać żoną *Mezomorty*, y że więcey ją czcić y szanować będę, niżeli *Sułtanową*, którąby mi swoją chciała ofiarować rękę.

Don Juan skłonił się na wolę Rządcy, a chociaż nie bardzo kontent z komissu, który na niego włożono, obiecał wszystko czynić, coby mógł tylko. Dosyć już na tym, rzekł *Mezomorto*, porzuć twą robotę, a idź za mną. Mimo nasze zwyczaje, chcę cię zaprowadzić do tey piękney uiewolnicy, lecz strzeż się, abyś na złe nie zażył mojey ku tobie ufności. Męki, nawet samym Turkom nieznajome twąby ukarały śmiałość. Staray się przezwyciężyć jey smutek, y wiedz o tym, że wolność twoja jest przywiązana do uskutecznienia moich zamysłów.

Don Juan porzucił swą robotę, y szedł za Rządcą, który pośpieszał do swojey smutney niewolnicy. Znay-

Znaydowała ſię w ten czas z dwiema ſtaremi kobietami, ktòre obaczywſzy przychodzącego *Mezomortę*, oddaliły ſię z tamtąd. Piękna niewolnica, przywitała go z uniżonnością, lecz nie mogła utrzymać ſię od drżenia, to ſię jey zawſze przytrafiało, ile razy Rządca do niey przychodził. Co gdy poſtrzegł, a chcąc ją troche pocieſzyć, rzekł: Piękna niewolnico, przyſzedłem ci donieść, że mam między memi więzniami jednego Hiſzpana, możebyś była rada z nim bawić, jeślibyś go widzieć życzyła, powiedz, a ja mu pozwolę ſamemu nawet bywać u ciebie bez świadkòw.

Niewolnica zezwoliła na to; przyſzlę ci go zaraz, rzekł *Mezomorto*, dałyby nieba, aby przez ſwe namowy z twego wyprowadził cię ſmutku. Kończąc te ſłowa wyſzedł, a ſpotkawſzy *Toledana* przy drzwiach, rzekł do niego cicho: po rozmowie

wie z niewolnicą przyidzieſz do mego pokoju, y o wſzyſtkim mię uwiadomiſz.

Zarate wſzedł w tym do pokoju, ſkłonił ſię niewolnicy nie patrząc nawet na nią, ona przyjęła jego ukłon, takoż na niego nie weyrzawſzy, lecz gdy oboje na ſię z pilnością ſpóyrzeli, krzyknęli z podziwieniem, a *Donna Teodora* na kanapę upadać zaczęła; o nieba! rzekł *Toledan*, zbliżając ſię do niey y czyliż mię moje nie oſzukują oczy? *Donna Teodora* taż to ſama, którą widzę! ach *Don Juanie!* zawołała piękna niewolnica, y ty żeś to tu jeſt? tak jeſt o Pani! odpowiedział, rzucając ſię do nóg y całując ſerdecznie jey ręce; ten to ſam jeſt *Don Juan*, poznay go po tych łzach, których oczy z radości, iż ciebie obaczyły, utrzymać nie mogą, y po tych poruſzeniach, które ty ſama ſprawić możeſz: już na móy los nie narzekam, ponieważ

waż mi ciebie znowu przywraca. Lecz gdzież mię moja niepomiarkowana unosi radość? zapominam, że jesteś w niewoli, przez jakiż znowu wymysł fortuny, tu się dostała? jakimżeś się sposobem z rąk *Don Alwara* uwolniła? o jakichże on smutków y boleści moich był przyczyną! niebo, rzekła *Teodora*, zemściło się nad *Alwarem Ponse*, gdybym miała czas wszystko ci opowiedzieć.... Masz wielką do tego sposobność, odpowiedział *Don Juan*, Rządca pozwala mi bywać u ciebie, a co cię więcey zadziwiać powinno, że dozwala mówić y bawić się z tobą bez świadków. Profituymy z tych szczęśliwych momentów; uwiadom mię o wszystkim, co ci się przytrafiło od twego porwania, aż do tego czasu.

A któż ci o tym powiedział, żem przez *Alwara* była uwieziona? spytała *Teodora;* wiedziałem o tym dobrze, odpowiedział *Don Juan;* w ten

w ten czas zaczął jey opowiadać, jakim się sposobem o tym dowiedział, jak *Mandos*, y on, wsiedli byli w okręt dla ścigania uwoziciela, y jakim potym sposobem w ręce rozboyników wpadli. Gdy tak swoją kończył powieść; *Teodora* też swoją zaczęła w te słowa:

Nie potrzeba, abym ci powiedziała o zadziwieniu moim, gdym przez ludzi w maskach będących, była porwaną, zemdlałam w rękach tego, który mię uchwycił, y gdym do siebie przyszła, co bez wątpienia w niekrótkim stało się czasie, obaczyłam się z *Inesą* moją Panną w okręcie na środ morza.

Nieszczęśliwa *Inesa* cieszyła mię, y zachęcała do cierpliwości, tak dalece, iż miałam ją w podeyrzeniu o porozumienie się z *Alwarem*: który nie zaniedbał stawić się przedemną. Pani, rzekł, rzucając się do nog, daruy w rospaczy będącemu *Amantowi*, gwałtownych używają-

cemu ſpoſobów, dla otrzymania ciebie, zważ dobrze moją miłość, y wieſz jak gwałtownie chciałem twoje wydrżeć ſerce *Don Frydrykowi*, aż do tego momentu, w którymeś go nademnie przełożyła. Gdybym tylko mierne miał do ciebie przywiązanie, potrafiłbym go przezwyciężyć, lecz na tym zawiſł los życia mego, abym ſię na twe zapatrywał wdzięki; chociaż jeſtem wzgardzony, nie mogę ſię z ich wydrżeć mocy; nie lękay ſię jednak żadnego odemnie gwałtu, niechcę ci twojey odbierać wolności, ani trwożyć twą cnotę, przez niegodziwe wymuſy; żądam tylko, aby w mieyſcu, do którego cię zaprowadzę, węzeł wieczny y święty, naſze zjednoczył loſy.

Nie mogę jeſzcze dalſzych jego mów przypomnieć, gdyżem ich bynaymniey nie uważała, rozumiał zdrayca, iż mię tym nie tyranizował, gdy mię do zamęźcia z ſobą

przy-

przymuſzał, y że nie powinnam była mieć za uwoziciela, tylko za *Amanta* zbytecznie mię kochającego. Pod ten czas, gdy mi te czynił oświadczenia, jam ſtraſzliwie płakała y w roſpaczy była pogrążoną, dla tego wyſzedł odemnie niechcąc daremnie tracić czaſu na perſwazyi; lecz wychodząc dał znak *Ineſie*, dorozumiewałam ſię, iż to dla tego było, ażeby jego popierała interes.

Nie zaniedbała tego uczynić, wyſtawiała mi przed oczy, iż po odgłoſie uwiezienia, trzeba było przyjąć rękę *Ponse*; chociażem miała wſtręt do niego; że ſława moja tey po mym ſercu wymagała ofiary. Niebył to ſpoſob, do otarcia łez moich, pokazywać mi potrzebę tego nieſzczęśliwego zamężcia; już *Inesa* ſama niewiedziała co mi miała więcey mòwić, gdy w tym wielki uſłyſzeliśmy hałas.

Ludzie *Don Alwara* go czynili, za poſtrzeżeniem wielkiego y zbroy-

nego okrętu, który na nas prosto płynął, a ponieważ nasz okręt nie miał tyle żaglów, nie mogliśmy przed nim uciec. W tym zaczęto wołać z pomienionego okrętu, abyśmy się poddali, lecz *Alwar* y jego ludzie woleli raczey umrzeć, niżeli pòyść w niewolą. Stanęli do potrzeby, potyczka była bardzo żwawa, którey ci dostatecznie opisać nie potrafię, to tylko wiem, iż *Alwar* ze wszystkiemi swemi zginął ludźmi, bijąc się z taką odwagą, jak Desperat. Nas zaś przeniesiono do owego okrętu, który należał do *Mezomorty*. Rządził zaś nim jeden z jego Officyerów nazwany: *Aby-Alyj-Osman*.

Ten z wielkim przypatrywał mi się podziwieniem, a poznawszy po stroju, iż byłam Hiszpanką; rzekł do mnie tymże językiem: ukoy twą żałość, y przestań się smucić z tego, żeś się w niewolą dostała, to nieszczęście było dla ciebie nieuchronne; lecz cóż mówię nieszczęście,

jest

jeſt to przypadek, z ktòrego ſię cieſzyć powinnaś, nadto jeſteś piękna, ażebyś tylko miała mieć względy Chrześian, niebo, bez wątpienia nie ſtworzyło cię dla tych podłych ludzi, warta jeſteś względu nayzacnieyſzych oſob, ſami tylko *Muzułmani* ſą godni ciebie dziedziczyć. Powròcę ſię zaraz do *Algieru*, a choć innych nad ciebie nie mam łupów, *Mezomorto* mòy Pan będzie kontent aż nadto z tey zdobyczy. Nie będzie ganił tak prędkiego mego powrotu, y niecierpliwości, z ktòrą ſpieſzyłem oddać mu w ręce piękność, ktòra będzie jego roſkoſzą y ozdobą całego Seraju.

Na te ſłowa, powiękſzyłam moje płacze y lamenta. *Aby-Alyi* śmiał ſię tylko ze mnie y kazał zwracać ſię do *Algieru;* jam ſię niezmiernie ſmuciła, y do Nieba poſyłałam moje wzdychania, wołałam do niego o pomoc, życzyłam aby okręt jaki Chrześciańſki przyſzedł nas attakować,

wać, lub żeby nas morſkie w prze-
paść pogrążyły nawałności. Zyczy-
łam ſobie także, aby boleść y łzy,
ktòrem bez przeſtannie wylewała,
obmierzłą mię w oczach Rządzcy po-
kazały. Te wſzyſtkie życzenia da-
remne były; przybyliśmy do Portu,
przyprowadzono mię do tego Pała-
cu, y ſtawiono mię przed *Mezomor-
tą*.

Niewiem, co z ſobą mòwili, gdyż
mowa ich była Turecka, tom tylko
poznała po minach y geſtach Rządz-
cy, iż miałam nieſzczęście podobać
ſię mu. Słowa, ktòre do mnie po Hi-
ſzpańſku mòwił, utwierdziły moje
mniemanie, co mię do roſpaczy pro-
wadziło.

Daremniem ſię mu do nòg rzuca-
ła, proſząc o mą wolność, y obie-
cując jak naywiękſzy okup, nic to
wſzyſtko nie pomogło: odpowie-
dział, iż mię nad wſzyſtkie w świe-
cie ſzacuje doſtatki; kazał dla mnie
wyznaczyć to pomieſzkanie, ktòre

jeſt

jeſt naywſpanialſze w jego Pałacu; od tego czaſu, nic nie zaniedbał, aby mię z mego wyprowadził ſmutku, w ktòrym widzi być pogrążoną. Sprowadza zawſze do mnie niewolników obojey płci, ktòrzy umieją śpiewać y grać na różnych inſtrumentach, oddalił odemnie *Inesę*, rozumiejąc, iż ona powiękſzała me ſmutki, uſługują mi ſtare tylko niewolnice, które zemną zawſze nic innego, jak tylko o miłości ſwego Pana gadają, y o ròżnych ukontentowaniach, które dla mnie ſą zachowane.

Lecz to wſzyſtko, czym mòy ſtarają ſię rozerwać ſmutek, powiękſza go bardziey. Nic mię nie może pocieſzyć, będąc niewolnicą w tym obmierzłym Pałacu, ktòry w ſobie zawiera codziennie krzyki gwałconey niewinności, mniey mię jeſzcze ſtraſzy ſtrata wolności, jak bezecna miłość tego Rządzcy. Chociażem do tych czas

w nim

w nim nie znalazła, jak tylko *Amanta* dyſkretnego y uniżonego, niemniey jednak mam z tąd bojaźni, lękam ſię tego, aby gdy długa zwłoka już mu ſię uprzykrzy, niechciał nademną ſwey użyć władzy. Tak mię to ſtraſznie trwoży, iż każdy moment mego życia, jeſt nową dla mnie męką.

Donna Teodora nie mogła tych ſłów dokończyć bez wylania łez obfitych, tak, iż *Don Juan* był niemi do gruntu przerażony. Nie bez przyczyny Pani, rzekł jey: obawiaſz ſię tego z ſobą poſtąpienia, y mnie to równie z tobą trwoży, delikatność Rządzcy prędzey zniknie, niżeli ty ſpodziewać ſię możeſz, ten uniżony y układny *Amant*, w krótce tey zmyśloney pozbędzie ludzkości, widzę wſzyſtkie niebeſpieczeńſtwa, w które bez wątpienia wpadnieſz.

Lecz, mówił daley, odmieniając głos, nie będę nigdy na to ſpokoy-

nie

nie patrzyć. A choć jeſtem niewolnikiem, roſpacz moja jeſt dla niego niebeſpieczna. Niżeli *Mozomorto* cię zniewaźy, utopię wprzód w ſercu jego .... Ach *Don Juanie*! przerwała wdowa: co za projekt śmiesz w ſwojey układać głowie! niech cię Nieba ſtrzegą, ażebyś go miał uſkuteczniać. Straſzliwemi mękami tey śmierci nad tobąby ſię mſzczono; nie mogę o tym wſpomnieć bez drżenia. A do tego, odbierając życie Rządzcy, czy przywróciłbyś moją wolność? możebym była przedaną jakiemu bezbożnikowi, któryby mniey zapewne miał dla mnie delikatności, niżeli do tych czas *Mezomorto*. Wam to o Nieba zoſtawuję, pokażcie waſzą ſprawiedliwość. Znacie dobrze niegodziwy zamyſł Rządzcy, zabraniacie mi trucizny y żelaza, więc zapobiegniycie ſami wyſtępkom, które was obrażają.

Tak jeſt o Pani zawołał *Zarate*, Nie-

Niebo, bez wątpienia cię wybawi, y to, co mi w tym momencie do myśli przychodzi, jest jego natchnieniem. Rządzca pozwolił mi bywać u ciebie, abym nakłaniał cię do wzajemney mu miłości, rozkazał, abym mu zawsze opowiadał, co z tobą mòwić będę; trzeba go podeyść. Powiem przed nim, że już jesteś weselszą, że delikatność, z ktòrą się z tobą obchodzi, osładza twoje przykrości, y jeżeli ròwnie w dalszym czasie postępować zechce, zapewne wszystko otrzyma. Popieray y ty z swojey strony, ten mòy zamysł, gdy cię nawiedzać będzie, staray się być troche weselszą, y uday, że niby masz cokolwiek upodobania w jego przymileniach.

Co za przykrość dla mnie, zawołała *Teodora!* y jakże dusza szczera y rzetelna może się przekształcić? còż za korzyść z tego przykrego zmyślania będę miała? Rządzca, odpowiedział *Don Juan*, będzie kon-

tent

tent z tey odmiany, y zechce daley grzecznością y nienarażeniem się tobie, do skutku swe doprowadzać życzenia, a ja tym czasem o twoją y moją wolność starać się będę. Chociaż te dzieło jest bardzo trudne, znam jednak jednego sprawnego niewolnika, ktòrego rostropność y przezorność wielce nam potrzebną będzie.

Zostawuję cię tedy; gdyż ta rzecz potrzebuje pilności, obaczemy się znowu. Ja idę teraz do Rządzcy, będę się starał temi fałszywemi omamić go powieściami, a ty Pani, gotuy się do przyjęcia go. Zmyślay, przyniewalay się, udaway, że cię jego nie trwoży przytomność, niech usta twoje, które się tylko na uskarżania przeciwney fortuny otwierały, coś mu podchlebnieyszego powiedzą. Nie obawiay się tego, że mu się zbyt przychylną razem pokażesz, trzeba wszystko obiecywać, aby nic nie dotrzymać. Dosyć na tym, od-

po-

powiedziała *Teodora*: uczynię wszystko to, co mi mòwisz; ponieważ nieszczęście, w którym zostaję, tę na mnie okrutną wkłada potrzebę. Idz tedy *Don Jaunie?* staray się o to, abyś mię jak nayprędzey z tey wyzwolił niewoli, będzie to naysłodszą dla mnie pociechą, jeśli przez ciebie moją otrzymam wolność.

Toledan czyniąc zadosyc roskazom *Mezomorty*, poszedł do niego: còż mi tam kochany *Alwaro* powiesz? spytał z ciekawością, jaką mi nowinę od piękney przynosisz niewolnicy? namòwiłżeś ją, aby na moją była czułą miłość? a jeśli mi to przynosisz, iż nie ma nadziei ugłaskania jey dzikiego uporu, przysięgam przez głowę wielkiego Proroka, że dziś zaraz otrzymam to gwałtem, czego moja grzeczność dostąpić nie może.

Panie, odpowiedział *Don Juan*: nie potrzeba takowych czynić przysiąg, nie będziesz przymuszony do gwałtu, dla zadosyć uczynienia twojey

jey woli. Ta niewolnica jeſt to młoda dama, ktòra nigdy nie kochała; tak jeſt pyſzna, że ſtaranie ſię naypierwſzych Panow *Hiſzpańſkich* odrzucała. Panowała prawie w ſwoim kraju, a tu ſię być widzi niewolnicą. Duſza wynioſła, czuje bardzo długo odmianę ſwego ſtanu. Jednakowoż ta harda *Hiſzpanka* przywyknie tak, jak y drugie do niewoli. Powiem ci jeſzcze, że więzy jey ſtają ſię troche lżeyſzemi. Twoje względy, twoja grzeczność, y attencya dla niey, ktòrey ſię nie ſpodziewała, oſładzają jey nieukontentowania y zwyciężają potrochu jey pychę. Użyi jeſzcze czas nie jaki cierpliwości, y chciey daley uymować dla ſiebie tę piękną niewolnicę, przez delikatne z nią y nienatrętne poſtępowanie; a bądź pewnym, iż ci ſię ſama w krótce podda y ſtraci w rękach twoich miłość wolności.

Niezmiernie jeſtem kontent z tego donieſienia, rzekł Rządzca: nadzieja,

ja, którą mi czyniſz, może wſzyſtko nademną; wſtrzymam jeſzcze moją niecierpliwość, ażebym ją miley potym mógł uſkutecznić. Lecz czy tylko mię nie oſzukujeſz? może y ſam jeſteś oſzukanym? idę zaraz w tym momencie widzieć niewolnicę, y z nią mówić, chcę wyczytać z jey oczu, tę podchlebną nadzieję, którąś ty z nich wyczytał. To mówiąc, poſzedł do *Teodory*, a *Toledan* odſzedł do ogrodu, gdzie ſpotkał ogrodnika, któren tenże ſam był niewolnik, którego przezorności y biegłości chciał zażyć dla uwolnienia z niewoli ſwojey kochaney wdowy.

Ten Ogrodnik nazywał ſię *Franciſzek*, był rodem z *Nawarry*, znał doſkonale *Algier*, dla tego, iż w nim wielu Panom ſłużył, niżeli ſię do Rządzcy doſtał. *Franciſzku* móy przyjacielu, rzekł do niego *Don Juan*: widziſz mię bardzo zmartwionym; jeſt tu w tym Pałacu jedna młoda Dama, nayzacnieyſzego urodze-

dze-

dzenia z *Walencyi*, prosiła *Mezomorty*, aby za nią raczył przyjąć okup, lecz on tego żadną miarą uczynić niechce; gdyż się w niey bardzo kocha. A dla czegoż cię to tak zbytecznie smuci? spytał *Franciszek*: dla tego odpowiedział *Toledan*, iż ja z tego samego jestem miasta, a moi rodzice y tey Damy, w wielkiey z sobą żyją przyjaźni: wierż mi, że nie masz nic takowego, czegobym niechciał uczynić dla przywrócenia jey wolności.

Chociaż to jest rzecz trudna, odpowiedział *Franciszek*: mògłbym przecie dokazać, gdyby rodzice tey Damy dobrze takową nadgrodzili przysługę. Ani o tym wątp, rzekł *Juan*: ja ręczę za ich wdzięczność y hoyność, a osobliwie za jey samey. Nazywa się *Donna Teodora*, jest wdową po zmarłym jednym godnym człowieku, który jey wielkie zostawił dostatki, tyle jest hoyną, ile bogatą. A do tego, ja ci wszystko

przy-

przyrzekam; jeſtem *Hiſzpan* ſzlachetnie urodzony, ſłowo moje powinno cię dosyć zapewnić.

Dobrze tedy, odpowiedział ogrodnik: ponieważ chceſz ſwojey rzetelnie dotrzymać obietnicy, pòydę tedy poſzukać jednego Biſurmana *Katalonczyka*, ktòrego znam, y będę z nim mòwił ..... Co mòwiſz, zawołał *Toledan* z podziwieniem? ty ſię chceſz zwierzać tego podłemu człowiekowi, ktòry miał tyle bezbożności odſtąpić Religii? chociaż ſię zbisurmanił, odpowiedział *Franciſzek*, nie przeſtał być przeto poczciwym człowiekiem, y więcey godzien politowania, niż nienawiści; ja go mam za wymòwionego; w krótkich ſłowach całą jego opowiem hiſtoryą.

Urodził ſię on w *Barcellonie*, Felczerem był z profeſſyi, widząc że bardzo mało zyſkiwał, chciał porzucić ſwą Oyczyznę, a gdzie indziey lepſzego ſzukać ſzczęścia. W tey myśli

myśli wſiadł w okręt wraz z ſwoją matką, lecz okręt ten poymany był przez zbóycow z *Algieru*, między inſzemi wzięto też y jego, przedano jednemu *Turkowi* a matkę *Murzynowi*, tak ſię zaś źle z nim obchodzono, iż z roſpaczy y dla zakończenia ſwey niewoli zoſtał *Mahometanem*: jako też dla przywrócenia wolności ſwey nieſzczęśliwey matce, która w wielkiey nędzy u ſwego Pana zoſtawała. Wſzedł potym w ſłużbę Baſzy, częſte na morzu czynił wycieczki na obłow, doſyć dobrze tam ſię wſpomogłſzy, podziękował za ſłużbę. Wykupił zaraz z niewoli ſwoją matkę, y umyślił właſnym koſztem na morzu ſzukać zdobyczy.

Kupiwſzy ſobie mały okręcik, uczyniwſzy ſię nad nim Kapitanem, przybrał do kompanii niektórych żołnierzy *Tureckich*, y z niemi po morzu rozbijał. Powrócił z znacznym łupem, aże mu ſię to razy kilka nadało, tak ſię w krótkim cza-

ſie zbogacił, iż był w ſtanie kupienia wojennego okrętu, którym znacznieyſze zyſkiwał zdobycze. Lecz przeſtał być ſzczęśliwym. Dnia jednego Fregata *Francuzka* tak jego ſkołatała okręt, iż ledwo nim do portu powròcił, a ponieważ w tym kraju ſądzą o doſkonałości y ſprawności rozboynikow morſkich, gdy zamyſły ſwoje zręcznie wykonywają, przypadek ten poddał w pogardę u *Turkow* tego *Katalonczyka*, ktòry ze złości y nieukontentowania ſwòy przedał okręt, y wyprowadził ſię do jednego domku, ktòry ma za miaſtem, gdzie od owego czasu z zebraney zdobyczy teraz z ſwoją matką y kilką niewolnikami żyje.

Częſto ſię z nim widuję, u jednegośmy zoſtawali Pana, y w wielkiey z ſobą jeſteśmy przyjaźni, on mi nayſkrytſze ſwe powierza myśli; trzy temu dni jak do mnie mòwił ze łzami w oczach, iż nie może być żadną miarą ſpokoynym od tego

czaſu,

czasu, jak swey odstąpił wiary, y że dla zaspokojenia zgryzoty sumnienia swego, nie potysiąc razy chciał rzucić zawoy o ziemię, nie dbając na to: iżby był spalonym, y przez publiczne wyznanie żałować zgorszenia, które uczynił Chrześcianom.

Taki to jest człowiek, do którego się ja udam, mówił daley *Franciszek*: niemiey go w podeyrzeniu, idę zaraz do niego y opowiem mu, że zamiast próżnego żalu, w którym jest pogrążony, dla tego, iż się od swey wiary y Kościoła oddalił, powinien myślić o sposobach powrócenia się do niego, y żeby tym końcem kupił choć nie wielki okręt, pod pozorem, jakby mu się już życie próżniackie sprzykrzyło, y że chciałby znowu pierwszą swoją morską odnowić professyą, a tym zaś statkiem dostaniemy się do *Walencyi*, gdzie *Donna Teodora* poda mu sposob przepędzenia resztę dni życia w *Barcellonie*.

Dobrze, kochany *Franciszku*, zawołał

wołał z radością *Don Juan*: możesz mu wszystko obiecywać, y bądź pewny, iż y ty, y on hoynie będziecie nadgrodzonemi. Lecz czy się to tylko stanie tak, jak ty obiecujesz? mogą być jeszcze jakie trudności, odpowiedział *Franciszek*: ale my one ułatwiemy; bądź pewny *Alwarze*, że za moim powrotem, pomyślne odbierzesz nowiny.

Z wielką niecierpliwością *Toledan* czekał powrotu *Franciszka*, który w kilka godzin powróciwszy, taką mu przyniosł wiadomość: mowiłem, rzekł z moim przyjacielem, odkryłem mu nasz zamysł. Po długim namyśleniu, zezwolił nakoniec na kupienie małego okrętu, y że na niego, wszystkich zabierze niewolnikow, ażeby jednak nie popadł w podeyrzenie, zamowi dwónastu żołnierzy *Tureckich*, y naznaczy im czas przyiścia dwoma dniami póżniey po swoim odjeżdzie. W nocy zaś podjedzie małym batem pod fortkę ogro-

ogrodową, która jeſt doſyć ſkryta y rzadko komu wiadoma, tamtędy tedy wſzyſcy wyidziemy; a ponieważ morze jeſt bliſko, prędko ſię na ów bat doſtaniemy, a potym na okręt. Otoż maſz naſze ułożenie, oznaym to ſwojey damie, y upewni ją, że naydaley za dni piętnaście będzie na wolności.

Co za ukontentowanie było dla *Zarata*, gdy tak przyjemną nowinę mògł ſwojey donieść kochance, ażeby ſię mògł z nią widzieć, poſzedł ſzukać *Mezomortę*, a ſpotkawſzy go, rzekł: darujeſz mi Panie, jeśli ſię cię ſpytam, jaka jeſt teraz dla ciebie piękna niewolnica? dziwnie jeſtem z niey kontent, odpowiedział Rządzca: jey oczy nie unikały mych chciwych ſpòyrzeń, jey ſłowa, ktòremi do tych czas na ſwòy ſtan narzekała, nie były pomieſzane uſkarżeniem ſię; y zdawało ſię, iż z miłą pilnością ſłuchała mych rozmow.

Twoim to ſtaraniom *Alwaro*, tę wi-

winien jeſtem odmianę, widzę, że znaſz dobrze kobiety ſwego kraju, chcę, żebyś jeſzcze z nią mówił, y ażebyś to dokończył, coś tak ſzczęśliwie zaczął. Wyſil twóy rozum, y twoją zdatność, ażebyś moje przyśpieſzył ſzczęście, zdeymę zaraz twoje więzy, y przyſięgam przez wielkiego naſzego Proroka, że cię zaraz do twey odeſzlę oyczyzny, obdarowanego tylo doſtatkami, że gdy cię Chrześcianie obaczą, nie będą mogli nigdy wierzyć, że z niewoli powracaſz.

Toledan nie omieſzkał za takowe obietnice uczynić naywdzięczniey-ſzego podziękowania, y podchlebiać *Mezomortowi* w jego błędzie, pod pozorem tedy prędſzego uſkutecznienia, śpieſzył ſię odwiedzić piękną niewolnicę. Sama jedna na ten czas w ſwym ſię pomieſzkaniu znaydowała, gdyż niewolnice, które jey ſłużyły, były czym innym zatrudnione, opowiedział jey zaraz ſwo-

ją

ją umowę z *Nawarczykiem*, y że do uſkutecznienia zamyſłow ſwych, y tegoż *Nawarczyka*, wraz z *Katalonczykiem* obietnicami nadgrod nakłonił.

Co za ukontentowanie było dla *Teodory* ſłyſzeć, iż już ułożono ſpoſob do wyprowadzenia jey z niewoli. Czyż to być może, zawołała z radością! abym znowu obaczyła *Walencyą* moją ukochaną Oyczyznę? co za ſzczęście byłoby dla mnie po tylu przypadkach y nieſzczęściach, żyć tam razem z tobą? ach *Don Juanie*! jakże ta myśl jeſt przyjemna dla mnie, czy dzieliſzże ze mną te ukontentowanie? wiedz o tym, iż wyrywając mię z rąk Rządzcy, już twą właſną wyrywaſz żonę. O Nieba! zawołał wzdychając *Alwaro*, jakżeby te ſłowa ſłodziły nadzieję ſerca mego, gdyby niepamięć nieſzczęśliwego Amanta z gorżkością je mieſzała! przebacz Pani tey mojey delikatności, ſama przyznaſz, iż *Mandos*,

twe-

twego wart politowania. Dla ciebie on to wyjechał z *Walencyi*, y utracił wolność; nie wątpię o tym bynaymniey, iż będąc w *Tunis*, nie więcey na swą narzeka niewolą, jak na to, że się za ciebie nie pomścił.

Lepszego bez wątpienia godzien jest losu, odpowiedziała *Teodora*: biorę Niebo za świadka, że z żywą to czuję wdzięcznością, co dla mnie czyni, boleję nad umartwieniami jego, które z mojey cierpi przyczyny, lecz przez złe zrządzenie losow, serce moje nie może być nadgrodą jego zasług.

Ta rozmowa była przerwana przyiściem dwóch niewolnic, które tey piękney służyły wdowie. *Don Juan* odmienił zaraz dyskurs, a zmyślając niby osobę konfidenta Rządzcy, mówił daley: tak jest piękna niewolnico, trzymasz w więzach tego, u którego jesteś w niewoli, *Mezomorto* twóy y móy Pan nayłaskawszy y naymilszy ze wszystkich

Tur-

Turkow, kontent jeſt bardzo z ciebie, nie przeſtaway przyjemnie z nim ſię obchodzić, a wkrótce obaczyſz koniec twych ſmutkow. Kończąc te ſłowa wyſzedł, zoſtawując ją z jey niewolnicami.

Gdy ſię tak rzeczy miały w pałacu Rządzcy, *Katalonczyk* już był pod ten czas kupił okręt, y ſwoje kończył przygotowania; lecz przed ſześcią dniami, niżeli był w ſtanie płynienia na morze, *Don Juan* niepomyślne odebrał nowiny.

Mezomorto poſłał po niego; a wprowadziwſzy do ſwego gabinetu tak rzekł: *Alwarze*, już ci twoją przywracam wolność, możeſz ſię zaraz do twey powrócić Oyczyzny, dary, ktòrem ci przyobiecał już ſą przygotowane, widziałem dziś piękną niewolnicę; o jakże ona jeſt odmienną teraz od owey oſoby, ktòrey ſmutek tyle mię martwił, codziennie ſię potroſze do niewoli przyzwyczaja, tak jeſt w oczach moich miłą,

y

y taką mi okazała ludzkość, iż wziąłem przed się rezolucyą ożenić się z nią: y za dwa dni uczynię ją moją żoną.

Don Juan tak temi słowy był pomieszany y zatrwożony, iż to Rządzca postrzegł, y o przyczynę tego pytał. Panie, odpowiedział *Toledan*, bardzo mię to dziwi, iż osoba tak wysoka w Państwie Ottomańskim, chce się uniżyć aż do pojęcia za żonę własną niewolnicę, wiem, prawda; że to nie jest bez przykładu, lecz wielki *Mezomorto*, któż się będzie o córki Ministrow starał? Prawda odpowiedział Rządzca, iż mógłbym zawsze otrzymać za żonę córkę wielkiego *Wezyra*, y po nim, na jego nastąpić urząd, lecz przy wielkich dostatkach, mało mam ambicyi; przekładam spokoyność y ukontentowanie, w którym tu żyję, nad ministrowstwo; niebeśpieczne te są godności, na których ledwo co staniemy, aż zaraz trzeba się lękać gnie-

gniewu Monarchow, y złośliwych zayzdrośnikow y złości zawiſtnych, ażeby nas w jaką nie pogrążyli przepaść, a do tego kocham moją niewolnicę, jey piękność czyni ją godną honoru, ktòrym ją moja miłość więczy. Lecz trzeba dodał, aby dziś ſwą odmieniła Religią, y była ſpoſobnieyſzą do przyjęcia tego ſzczęścia. Jak rozumieſz? czy ſię tego przez śmieſzne y nie potrzebne ſkrupuły nie będzie wzbraniała? nie rozumiem, odpowiedział *Don Juan*, mniemam, że wſzyſtko zechce poświęcić tak wyſokiey Randze. Lecz pozwol Panie powiedzieć ci, że mi ſię nie zdaje, abyś tak pośpieſzno poymował ją za żonę. Nie można o tym ani wątpić, ażeby wyobrażenie odſtąpienia Religii, którą prawie z mlekiem wyſſała, nie miało ją zatrwożyć, day jey czaſu do namyślenia ſię, gdy ſobie zacznie rozważać, że zamiaſt zoſtania w zapomnieniu y zaſtarzania ſię między reſztą nie-

niewolnic, ty ją przez zamężcie wynosisz? wdzięczność y ambicya zwyciężą zapewne jey skrupuły: y przez ten sposob spodziewam się, iż się nakłoni do przyjęcia twojey wiary. Odłoż jeszcze do ośmiu dni twóy zamysł, a rozumiem, iż żadney już nie będziesz miał trudności.

Rządzca pomyśliwszy nieco nad radą swego konfidenta, która choć mu nie bardzo do gustu była, przecież mu pozorną być się zdała. Przystaję na to *Alwarze*, rzekł do niego, a chociaż wielką mam niecierpliwość dziedziczyć moją piękną niewolnicę, poczekam jeszcze do ośmiu dni. Idź zaraz do niey, y namòw ją, aby po wyszłym czasie, mojey się więcey nie sprzeciwiała woli. Chcę, aby tenże sam *Alwar*, który tak dobrze w mych służył zamysłach, miał honor jey moją ofiarować rękę.

Don Juan pobiegł do *Teodory*, uwiadomił ją, jaka między nim, a

Mezo-

Mezomortą o niey była rozmowa: y że na odłożenie według jego rady do ośmiu dni zezwolił. Powiedział jey także, iż w ſześciu dniach okręt *Katalonczyka* ze wſzyſtkim będzie gotowy. W tym tylko była trudność, jakimby sposobem wyiść miała z pokoju, ponieważ wszyſtkie drzwi mocnemi były opatrzone zamkami; lecz na to będzie sposob dodał, te okno twego pokoju wychodzi na ogrod, przez nie tedy wyidziesz po drabinie, o którą ja ſię poſtaram.

W rzeczy samey, gdy sześć dni przeszły, *Franciſzek* uwiadomił *Toledana*, iż *Katalonczyk* w nocy pod ogrodem z batem będzie ſię znaydował. Moment ten z wielką czekany był niecierpliwością, przyszedł nakoniec, a dla szczęśliwego wykonania zamyſłow, noc była na ten czas bardzo ciemna. *Don Juan* pobiegł pod okno gabinetu swojey kochanki, która już na niego czeka-

ła;

ła; jak tylko go poſtrzegła, zeszła po drabinie z wielkim pośpiechem y bojaźnią. *Toledan* podał jey rękę, prowadził przez małe drzwi ogrodowe, y poszli proſto ku morzu.

Gdy tak oboje z pośpiechem uchodzili, y już koſztować zaczęli ſłodyczy wolności; fortuna, z ktòrą ci kochankowie jeſzcze ſię dobrze nie pogodzili, dopuściła na nich nieſzczęście, okrutnieyſze nad te wſzyſtkie, których do tych czas doświadczali: y takie, które od nich ſpodziewane być nie mogło.

Gdy już daleko byli za ogrodem, y coraz ſię do brzegow zbliżali; człowiek jakiść, którego z daleka mieli za kompana ucieczki, y naymnieyſzego o nim nie mieli podeyrzenia, szedł proſto do *Don Juana* z ſzpadą dobytą, a utopiwszy mu ją w pierſiach; niepoczciwy *Alwaro Ponſe* zawołał, takim ſpoſobem *Don Frydryk de Mandos*, powinien ukarać podłego porywacza, nie

wart

wart jesteś tego, abym się z tobą, jak z uczciwym był człowiekiem.

Toledan nie mógł tak mocnego wytrzymać razu, y został powalony na ziemi; w tymże samym czasie, *Donna Teodora* zdjęta podziwieniem, boleścią y strachem, padła z drugiey strony zemdlona bez zmysłow; ach *Mandos*, zawołał *Don Juan!* cóżeś to uczynił? zgubiłeś twego przyjaciela; o Nieba! krzyknął *Don Frydryk* zdumiony y prawie od rozumu odchodzący, czyż to być może, abym ja stał się zabóycą!....Wybaczam ci, moją śmierć przerwał *Zarate*: los sam oney jest przyczyną: chciał przez to nasze zakończyć nieszczęście; tak jest, móy kochany *Mandos*, umieram kontent: iż mogę w ręce twoje oddać *Teodorę*, która cię zapewnić może, iż przyjaźń moja dla ciebie nigdy odmienną nie była.

Wspaniały przyjacielu, zawołał *Don Frydryk* przejęty rospaczą, nie-

um-

umrzesz sam, to żelazo, które ciebie raniło, ukarze y zabòycę twego, y choćby mòy błąd mógłby być wymòwionym, nie mogę ſobie wybaczyć. To mòwiąc, utopił w pierſiach ſwych ſzpadę aż po giſes y padł na *Don Juana*, który leżał zemdlały nie tak z ſłabości uyścia krwi, jako przerażony poſtępkiem takowym ſwego przyjaciela.

Franciſzek y Katalonczyk, ktòrzy o kilka tylko z tamtąd znaydowali ſię krokow, y którzy byli przeſtrzeżeni, aby na pomoc nie ſzli *Don Alwarowi*; bardzo byli zdumieni, ſłyſząc oſtatnie ſłowa *Don Frydryka*, y widząc co ſię ſtało: poznali, że to była omyłka, y że ranieni, byli to dway z ſobą naywiękſi przyjaciele, nie zaś owi okrutni przeciwnicy, jakiemi być ich rozumieli. Pobiegli na pomoc, lecz znalazłſzy ich bez zmyſłow, tak jak y *Teodorę*, ktòra zawſze zemdloną była, niewiedzieli ſami co czynić. *Franci-*

ſzek

ſzek radził, aby zanieśli damę do batu, a kawalerow zoſtawić na brzegu. Gdzie jeśli jeſzcze nie umarli, wkrótce zapewne dokończą życia. *Katalonczyk* na to ſię nie zgadzał, powiadając: iż nie trzeba ich porzucać, y że może rany nie ſą śmiertelne, dodając, iż miał w okręcie wſzyſtkie inſtrumenta pierwſzey ſwojey profeſſyi, ktòrey jeſzcze nie zapomniał. *Franciſzek* na to zezwolił.

A ponieważ wiedzieli, że niebeśpieczno było długo ſię bawić, za pomocą tedy kilku niewolnikow, zanieśli do batu nieſzczęśliwą wdowę, z jey godnemi politowania Amantami. Przybyli wkrótce do okrętu, gdzie jedni roſpinali żagle, a drudzy gorące do Nieba czynili modły, aby nie byli ścigani y złapani od *Mezomorty*.

Katalonczyk rozporządziwſzy wſzyſtko, co należało, śpieſzył ſię do dania pomocy *Teodorze* y dwóm

owym kawalerom, y przywrócił ich przez ſwoją umiejętność do zmyſłow: piękna wdowa, ktòra była na ten czas zemdlona, gdy raniono *Don Juana*, bardzo ſię zdziwiła, gdy obaczyła także *Mendoſa* ranionego, a chociaż ſię domyśliła, iż ſam tę ſobie zadać muſiał ranę z żalu, że ſwego przebił przyjaciela, nie mogła na niego patrzyć, tylko jak na zabòycę, człowieka, którego ona nad wſzyſtko kochała.

Naytkliwſzą to było ſceną, widzieć te trzy oſoby przywròcone potym do zmyſłow, ſtan, wktòrym pierwiey zoſtawali, chociaż podobnieyſzy do śmierci, nie tak był godzien politowania. *Donna Teodora* obracała oczy na *Don Juana*, w których widzieć było wſzyſtkie poruſzenia duſzy przejętey boleścią y roſpaczą, a ci dway przyjaciele rzucali na ſiebie wzroki umierające, y ſtraſzne wydawali jęki y weſtchnienia.

Po

Po nie jakim czasie tego tak strasznego milczenia, *Don Frydryk* rzekł głosem słabym do piękney wdowy: Pani, niżeli umrę, mam ukontentowanie widzieć cię uwolnioną z niewoli; dałyby nieba, żebyś mi była twą winna wolność! lecz też nieba gdy chciały, abyś ją z rąk tego odbierała, którego kochasz, z przywiązania do mego Rywala, już nie śmiem o to narzekać. Zyczę z serca y pragnę, aby raz odemnie zadany, nie przeszkadzał mu z twey korzystać wdzięczności. Dama nic na te nie odpowiedziała słowa, y zamiast żeby miała być tkniętą stanem *Don Frydryka*, czuła do niego wstręt wielki, czego przyczyną było nieszczęście, w którym kochanek jey się znaydował.

Tym czasem Cyrulik śpieszył się do opatrywania ran: zaczął od *Zarata*, y znalazł raz jego nie śmiertelny. Doniesienie Cyrulika zmnieyszyło smutek *Teodory*, y wielką na-

pełniło radością *Don Frydryka*, który obròciwszy się do damy rzekł: już jestem kontent, opuszczam życie bez żalu, ponieważ mòy przyjaciel wyiść może z niebeśpieczeństwa, nie umrę przecie Pani w twojey nienawiści.

Te słowa tak tkliwym wymówione były głosem, że przejęły wskróź piękną wdowę; a ponieważ przestała się lękać o życie *Don Juana*, przestała także nienawidzieć *Don Frydryka*: niewidząc nic w nim więcey, jak tylko człowieka, ktòry na jey zasługiwał politowanie. Ach! *Mandos* odpowiedziała: poruszona wspaniałością: pozwol, aby twoją opatrzoną ranę, może nie jest nie bespiecznieyszą od twego przyjaciela, odday się staraniom, które chcą mieć o twoim życiu, a jeżeli twoją nie będę być mogła żoną, niczyją zapewne nie będę. Przez wdzięczność y litość dla ciebie wstrzymam rękę, ktòrąm chciała

ła oddać *Don Juanowi*, tę samę czynię ofiarę, ktòrą on dla ciebie chciał uczynić.

Don Frydryk chciał na to odpowiedzieć, lecz Cyrulik bojąc się, aby się tą rozmową zbytecznie nie wzruszał, prosił aby nic nie gadał, opatrywał zaraz jego ranę, która mu się być śmiertelną zdała, czynił wszelkie koło niego starania, y całą swoją łożył umiejętność dla przywrócenia do zdrowia tego kawalera, prosił *Teodory*, aby się z tamtąd oddalić chciała, y że swą przytomnością mogła tym dwòm chorym jaką sprawiać niespokoyność.

Mimo zabiegi y starania Cyrulika, *Mandos* wpadł w wielką malignę, która przy końcu dnia zbytecznie powiększać się zaczęła: w ten czas poznał Cyrulik, iż ta rana była nieuleczona. Oznaymił mu, iż jeśli miał jaką rzecz do opowiadania *Teodorze* lub przyjacielowi, nie powinien na daremnie tracić czasu, gdyż

gdyż już nie długo żyć miał. Ta nowina ſtrwożyła ſtraſznie *Toledana*. *Don Frydryk* zaś bez naymnieyſzego przyjął ją pomieſzania y ſtrachu. Proſił, aby przywołano piękną wdowę, która ſię ſtawić nie zaniedbała.

Twarz miała zmoczoną łzami, y z taką płakała gwałtownością, że *Mandos* był tym dziwnie wzruſzony; Pani! zawołał: nie wyleway tych drogich łez, zatrzymay je na moment, a poſłuchay mnie; o tęż cię ſamą proſzę łaſkę, móy kochany *Zarato;* dodał: widząc jego żal y roſpacz. Czuję to dobrze, że rozłączenie ſię ze mną, może być dla was przykre, przyjaźń waſza aż nadto mi znajoma; abym o tym wątpić mógł. Lecz czekaycie aż śmierć nadeydzie, ażebyście ją uczcili tylą znakami przywiązania y litości.

Pohamuycie waſz ſmutek, więcey go czuję, niżli utratę życia me-

go,

go, y ſłuchaycie: jakim ſpoſobem los, który mię prześladował, na ten nieſzczęśliwy brzeg zaprowadził, ktòrymem ſkropił krwią mego przyjaciela y moją właſną. Dziwno wam bez wątpienia, jakim ſpoſobem mogłem mieć *Don Juana*, za *Don Alwara*, opowiem zaraz. Jeśli ten krótki moment życia, ktòry zoſtaje, na to pozwoli.

W kilka godzin, gdy okręt *Tuniſki* oddalił ſię od tego, na ktòrym ty móy kochany *Don Juanie* zoſtałeś, ſpotkaliśmy flotę *Francuzką*, która nas attakowała, y zbiła wſzyſtkich *Turkow*, wyſadzono nas na ziemię bliſko *Alkantu*, y przywrócono na wolność; jak tylko z więzow byłem uwolniony, myślałem zaraz o wykupienie mego przyjaciela, dla tego powróciłem ſię do *Walencyi*, gdzie zebrawſzy, cokolwiek w gotowych pieniądzach mieć mogłem, y poprzedawſzy jeſzcze do tego moje kleynoty y naydroż-

ſze

ſze ſprzęty, udałem ſię do *Barcellony*, zkąd okręt miał płynąć do *Algieru*. Lecz wprzòd, niżelim z *Walencyi* wyjechał, proſiłem tamecznego Rządzcy *Don Franciſzka de Mandos* mego ſtryja, aby całą ſwoją wziętość y kredyt, ktòre miał u Dworu *Hiſzpańſkiego* na to łożył: żeby otrzymać łaſkę od Kròla dla *Zarata* o przywròcenie jego dòbr, ktòre od śmierci Xięcia *Naxera* przez niegoż zabitego, były ſkonfiſkowane. Czego przecie za pomocą y intereſſowaniem ſię wielu Panow dokazał.

Jak tylko przybyłem do *Algierù*, śpieſzyłem zaraz na mieyſce, gdzie przedawano niewolnikow. Lecz daremne moje było ſtaranie, nie mogłem tego znaleść, czego ſzukałem. Dnia jednego ſpotkałem *Katalonczyka*, do którego to ten okręt należy, poznałem go za dawnego ſługę mego ſtryja, opowiedziałem mu przyczyny mojey podròży y proſiłem,

aby

aby wraz zemną chciał ſzukać mego przyjaciela. Martwi mię to bardzo odpowiedział, iż ci w tym uſłużyć nie mogę: gdyż nocy dziſieyſzey ujeżdżam z *Algieru* z pewną damą z *Walencyi*, która jeſt w niewoli u tuteyſzego Rządzcy; a jakże ſię ta nazywa dama ſpytałem, zowią ją *Teodorą*, odpowiedział.

Podziwienie, w które mię ta wprawiła wiadomość, pokazało *Katalańczykowi*, iż mię ta intereſſowała dama. Opowiedział mi zaraz ſpoſob, jakim ją miał z niewoli wyprowadzić; a ponieważ w ſwym dyſkurſie namienił był *Alwara*, ani wątpiłem o tym, iż to był tenże ſam *Alwaro Ponſe*. Dopomoż mym zamyſłom, rzekłem z pomieſzaniem do *Katalonczyka*, y poday mi ſpoſob zemſzczenia ſię nad mym nieprzyjacielem. Chętnie; odpowiedział mi, lecz opowiedz pierwiey przyczyny, dla czego nienawidziſz *Alwara*. W tym całąm mu rzecz przełożył. Gdy już wyſłuchał, rzekł:

rzekł: dość na tym, trzeba, żeby się dziś w mym bacie znaydował, a ja ci twego pokażę *Rywala*, którego, gdy ukarzesz śmiercią, czego godzien, zastąpisz jego mieysce, y poj edziesz z nami odprowadzić *Teodorę* do *Walenncyi.*

Niecierpliwość moja w zemście, nie mogła wymazać z pamięci *Don Juana*, widząc, iż tak o długo nadaremnie strawiłem czasu, a nigdzie o nim dowiedzieć się nie mogłem. Zostawiłem summę zebraną w rękach jednego Kupca Włoskiego nazwanego, *Franciszek Kapacy*, który mieszka w *Algierze*, y który mi przyobiecał wszelkie mieć o tym staranie. Nakoniec noc nadeszła, udałem się do *Katalonczyka*, który mię na ów brzeg zaprowadził. Staneliśmy niedaleko małey fórtki, z którey postrzegliśmy was wychodzących; otoż to jest *Alwaro* y *Teodora* rzekł do mnie *Katalonczyk.*

Na ten widok wpadłem w zapalczywość, dobyłem szpady, y

bie-

biegłem z pośpiechem ku nieszczęśliwemu *Alwarowi*, a rozumiejąc iż nayglównieyszego przebiję nieprzyjaciela, nayukochańszego y nay wiernieyszego przebiłem przyjaciela, którego szukać przyjechałem. Lecz dzięki niech będą niebu, mówił daley; że móy błąd, przecie go życia nie pozbawia, y nie będzie przyczyną gorżkich łez *Teodory*.

Ach *Mandos!* przerwała dama, powiększasz moją boleść, nic mię po twey stracie cieszyć nie może. Jeżelibym poszła za twego przyjaciela, byłoby to dla tego, abyśmy wraz nasze złączyli smutki. Już tego nadto Pani, odpowiedział *Don Frydryk*, nie zasługuję na to, abyś miała mię tak długo żałować, zaklinam cię, aby *Zarate* zaraz twoim się stał małżonkiem. On się potrafi zemścić nad *Alwaro Ponse*, *Alwar* już nie żyje: odpowiedziała *Teodora*, tegoż dnia, którego mię porwał, był zabity od rozboynikow, którzy mnie poymali. Pani,

Pani, odpowiedział *Mandos*, ta nowina dziwnie mię cieſzy, móy przyjaciel będzie przez to ſzczęśliwſzy. Idźcie proſzę za waſzą ſkłonnością bez odwłóki; widzę z ukontentowaniem zbliżający ſię moment, ułatwiający trudność waſzego ſzczęścia, która z politowania nademną, y z wſpaniałości pochodziła. Przepędzaycie dni ſwoje w pokoju, y w takiey zgodzie, żeby ani zayzdrość, ani fortuna odmienić nie potrafiła! bądź zdrowa Pani, byway zdrów *Don Juanie*, wſpomniycie czaſem na człowieka, któren was nad wſzyſtko kochał.

Dama y *Toledan*, nic na to odpowiedzieć nie mogli, powiękſzali tylko ſwe płacze y narzekania. *Don Frydryk* to poſtrzegłſzy, a czując ſię być bardzo ſłabym, rzekł im: zbytecznieście mnie rozżalili, już czuję śmierć zbliżającą ſię, a nie myślałem dotąd błagać Boga mego, dobro nieſkończone, aby mi to raczył prze-

przebaczyć, iż ſam ſobie ſkròciłem bieg życia mego, ktòrym on tylko władać powinien. To mówiąc podnioſł oczy w niebo, z okazaniem prawdziwego żalu, za wſzyſtkie ſwe przeſtępſtwa, gdzie w krótce wzmagająca ſię gorączka na tamten go świat przenioſła.

W ten czas *Don Juan* zaślepiony prawie roſpaczą, oddarł wſzyſtkie plaſtry od ſwey rany, y chciał w niey ſwoją zatopić rękę, aby ją uczynił nieuleczoną; lecz *Franciſzek* y *Katalończyk* tego mu żadną miarą nie pozwolili. *Teodora* także przelękniona tym poſtępkiem przyłączyła ſię do nich dla odwrócenia *Don Juana* od jego zamyſłu. Mòwiła do niego tak tonem poruſzającym, iż wſzedł nakoniec w ſiebie, pozwolił aby mu zawiązano ranę, y interes ſerca uſpokoił potrochu roſpacz przyjaźni. A chociaż przyſzedł do przytomności, nie umnieyſzyło to jednak jego ſmutku.

Kata-

Katalończyk, który między innemi rzeczami wiezionemi do Hiſzpanii miał przednie balſamy Arabſkie, y drogie perſumy, na proźbę *Teodory* y *Don Juana* namaścił ciało *Mandoſa*, ktòrzy umyślili mu w Walencyi oſtatnią pogrzebową wyświadczyć przyſługę. Nie przeſtali wzdychać y narzekać przez cały przeciąg ſwey podròży na los, ktòry im odebrał przyjaciela. A że mieli wiatr pomyślny, w krótce ſtanęli w brzegach Hiſzpanii.

Na ten widok wſzyſcy niewolnicy byli napełnieni radością, a gdy już u Portu wyſiedli, każdy w ſwą udał ſię ſtronę: piękna wdowa y *Toledan* wyſłali *Kuryera* do Walencyi, z liſtami do Rządzcy y Familii *Teodory*; wiadomość powròtu tey damy była przyjęta z radością od wſzyſtkich krewnych. *Don* zaś *Franciſzek de Mandos* niezmiernie był zmartwiony, gdy ſię dowiedział o śmierci ſynowca.

Oka-

Okazał to dobrze, gdy w kompanii krewnych *Teodory*, pojechał do *Denia* Miasta, w którym się ona znaydowała, y chciał widzieć ciało nieszczęśliwego *Don Frydryka;* ten poczciwy starzec swemi go oblewał łzami, y takie wydawał jęki y narzekania, że wszyscy przytomni byli poruszeni. Pytał się, przez jaki przypadek Synowiec do tego przyszedł stanu.

Opowiem ci zaraz, odpowiedział *Toledan*, gdyż zamiast wymazania z pamięci tego nieszczęśliwego przypadku, zawsze go sobie przypominam. Opowiadał mu w ten czas, jakim sposobem ten smutny stał się przypadek. Ta powieść nowych łez była mu przyczyną, y powiększyła żałość *Don Franciszka*; co się zaś tycze *Teodory*, jey krewni wielką okazywali radość z powrótu, y winszowali, iż szczęśliwie z rąk *Mezomorty* była uwolniona.

Po wielu rozmowach y opowiadaniu

daniu wfzyftkich rzeczy, włożono ciało *Don Frydryka* do karety, y zaprowadzono do Walencyi. Lecz jefzcze nie był tam pogrzebiony, gdyż czas Rządzctwa *Don Francifzka* konczył fię. Ten Pan gotował fię powròcić do *Madrytu*, y chciał tam ciało fwego fynowca przeprowadzić.

Pod ten czas gdy czyniono gotowości do wyjazdu, *Teodora* obdarowała hoynie *Nawarczyka* y *Katalończyka*. *Francifzek* powrócił do fwey Prowincyi, a *Katalończyk* z matką do *Barcellony*, gdzie przyjął nazad wiarę Chrześciańfką y żyje do tego czafu wygodnie. Tym czafem *Don Francifzek de Mandos*, odebrał pakiet ode Dworu, w ktòrym było przebaczenie y łafka dla *Don Juana;* Kròl mimo poważanie y względy, które miał na Dom Xiążąt *Naxerów*, nie mógł tego odmówić, wfzyftkim *Mendofom*, którzy fię z fobą umòwili, aby ją koniecznie otrzymać. Ta wiadomość tym milfzą była dla *Toledana*

ledana, iż mu zoſtawała wolność jechania przy ciele ſwego przyjaciela: czego inaczey nie mógłby uczynić.

Wyjechali tedy nakoniec w kompanii wielu godnych oſob, jak tylko przybyli do *Madrytu*, pogrzebiono ciało *Don Frydryka* w wſpaniałym Kościele, gdzie *Zarate*, y *Donna Teodora* za pozwoleniem *Mendoſów* wſpaniały mu wyſtawili nadgrobek. Nie kontentowali ſię jeſzcze tym: noſili przez cały rok żałobę, y kazali wſzyſtkie przypadki wyryć na marmurze dla wieczney pamiątki ich ſmutku y przyjaźni.

Dawſzy tedy tak oczewiſte znaki ſwego przywiązania do *Mendoſa*; pożenili ſię na koniec, lecz przez dziwną moc przyjaźni do *Don Frydryka Don Juan* zawſze był w melancholii zanurzony, której wygładzić nie mógł. *Don Frydryk*, kochany jego *Don Frydryk* był mu zawſze przytomny, zawſze go we śnie wi-

dywał, y nayczęściey takim, jakim go widział konającego. Rozum przecież pomału zaczął tych ſmutnych pozbywać wyobrażeń; wdzięki *Teodory* zacierały te przykre wſpomnienia, nakoniec *Don Juan* żył ſzczęśliwie y pomyślnie przez lat kilkanaście. Lecz w tych dniach będąc na polowaniu, ſpadł z konia, y tak głębokiey w głowie doſtał rany, że go Doktorowie żadną miarą uleczyć nie mogli. Umiera teraz, a ta dama, którą w ręku tych kilku widziſz kobiet, jeſt taż ſama *Teodora*, tak zbytecznie go kochająca, iż z żalu y roſpaczy w krótce za nim może pòydzie.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

O Snach.

Gdy *Aſmodeuſz* zakończył opowiadanie Hiſtoryi, *Don Kleofas* rzekł: co za przedziwny obraz przyjaźni? lecz bardzo to jeſt rzeczą rzad-

rzadką, widzieć dwie osoby, tak się kochające z sobą, jak *Don Frydryk* y *Don Juan*, a to jeszcze trudnieysza do znalezienia, iż będąc Rywalami, byli między sobą tak ścisłemi przyjaciółmi, y że tak wspaniale na wzajem czynili ofiarę.

Prawda, odpowiedział Diabeł, iż to jest bardzo rzadki przykład, y o którym już podobno nikt słyszeć nigdy nie będzie: mówiąc zaś o kobietach, te wcale między sobą nie zachowują przyjaźni, y gdybym sobie wystawił dwie w ścisłym żyjące przywiązaniu, tegobym tylko po nich wyciągał, aby w nieprzytomności jedney, druga o niey zle nie gadała. Lecz wiem, że tego nigdyby nie uczyniły: tak tedy jest zawsze między niemi związek przyjaźni. Gdybyś naprzykład do dwóch uczęszczał, y do jedney z nich nakłonił serce, drugą zapewnabyś wprawił w zapalczywość y rospacz; nieprzeto żeby cię kochała, lecz dla

K2 tego,

tego, iżeś nie dał pierwszeństwa nad jey przyjaciółkę. Otoż to jest taki charakter kobiet: nadto one są zayzdrośnemi jedne dla drugich, ażeby mogły czuć prawdziwą przyjaźń.

Historya tych dwòch przyjaciół, jest troche przydługa; rzekł *Leandro*; jużeśmy daleko w noc zaszli, w kròtce obaczemy, ukazującą się jutrzeńkę dzienne swiatło na świat przynoszącą. Czekam tedy od ciebie nowego ukontentowania. Widzę bardzo wiele osob śpiących, życzyłbym sobie abyś mię uwiadomił o tym: co się im teraz śnić może. Chętnie, odpowiedział Diabeł. Jak uważam, iż lubisz odmiany y nowości, uczynię zadosyć twemu żądaniu.

Spodziewam się, rzekł *Zambullo*, słyszeć śmieszne sny y ciekawe; a dla czegoż to, zapytał Kulawy? ty, któryś czytał *Owidiusza*, czy niewiesz co ten Poeta pisze? iż sny na świtaniu są prawdziwsze, gdyż w

ten

ten czas duſza oczyſzczona jeſt ze wſzyſtkich waporów cieleſnych. Niech ſobie co chce mówi *Owidiuſz*, odpowiedział *Kleoſas*, nie wierzę ja ſnom wcale. To zle czyniſz, rzekł *Aſmodeuſz*: nie trzeba ani wſzyſtkie mieć za bayki, ani wſzyſtkim wierzyć: ſą to kłamſtwa, które ſię czaſem prawdzą. Auguſt Ceſarz, który mógł uchodzić za uczonego, nie pogardzał ſnami, które w jego wpadały intereſſa; y odſtąpił batalii *Philippińſkiey* dla tego, iż miał o niey ſen niepomyślny. Mógłbym jeſzcze tyſiączne przytoczyć przykłady, przez któreby poznał błąd pogardzania ſnami, lecz chcę je zamilczeć, abym tylko teraz twojey dogodził chęci.

Zaczynaymy od tego domu wſpaniałego po prawey ręce. Pan onego, którego w przepyſznym widziſz pokoju śpiącego; jeſt to młody Hrabia, hoyny, y zalotny. Sni mu ſię teraz, że ſię znayduje

na

na operze, gdzie ſłyſzy ſpiewającą przedziwnie młodą y piękną Aktorkę, y że głoſem tey Syreny zoſtaje zwyciężony.

W bliſkim y podobnież bogatym gabinecie ſpoczywa jego żona, ktòra nadzwyczayne do gry ma przywiązanie. Sni ſię jey teraz, iż nie ſtało pieniędzy, y że zaſtawia ſwe kleynoty u jednego *Jubilera*, ktòry pożycza jey trzyſta piſtolów, za bardzo uczciwą prowizyą.

W domu naybliżſzym z teyże ſamey ſtrony, mieſzka jeden młody *Marquis*, podobnegoż charakteru y zdania z Hrabią. Kocha ſię on w ſławney kokietce, y takowy ma teraz ſen: iż pożycza znaczney ſummy, aby ją ſwojey darował kochance. A jego Plenipotent w tymże ſamym śpiący domu, śni teraz, że tym ſię więcey bogaci, im ſię Pan jego ruynuje. Còż tedy teraz o tych ſnach myśliſz? czyliż ci jeſzcze bajeczne y śmieſzne być

ſię

fię zdają? nie, odpowiedział *Don Kleofas*, uznaję teraz, iż *Owidiufz* prawdę pifał. Lecz ciekawy jeftem widzieć, co to jeft za człowiek, którego poftrzegam mającego wąfy zakręcone na papiloty? jeft to Szlachcić niedawno przybyły z Prowincyi, odpowiedział Diabeł: *Vice-Komes Aragońfki*, pyfzny bardzo y wynioły, w wielkie w tym momencie opływa ukontentowanie. Sni mu fię teraz, iż jakoby wielki jaki Xiąże, naypierwfze dawał mu mieyfce w jakowey publiczney ceremonii.

Lecz widzę w tymże famym domu dwòch braci Doktorów, którzy nie bardzo teraz pociefzne fny mają. Jednemu fię śni: jakoby wydano publiczny rofkaz, zakazujący płacenia Doktorom od Pacyenta, któregoby nie uzdrowili: wie albowiem nieborak, iżby mu z głodu umrzeć przyfzło. Drugi ma fen taki: iż rozkazano, aby Doktorowie

wie kładli żałobę przy pogrzebie tych wſzyſtkich, ktòrych oni leczyli. Wie ten także, że inſzey nad żałobę nigdyby nie noſił ſukni.

Zyczyłbym rzekł *Zambullo*, aby tego drugiego Doktora ſen był ſprawdzony, y ażeby każdy Lekarz był przytomny pogrzebowi ſwego Pacyenta, tak jak we Francyi, Sędzia jeſt przytomny męczeniu winowaycy, na ktòre go wſkazał. Dobre jeſt to poròwnanie, rzekł Diabeł: można mówić, że Sędzia ma kazać exekwować ſwóy dekret, a Doktor już ſwòy uſkutecznił.

Cóż to jeſt za oſoba, ſpytał *Zambullo*, ktòra porywając ſię z łóżka przeciera ſobie oczy? jeſt to człowiek doſyć godny, odpowiedział *Aſmodeuſz*, utrzymuje on teraz Rząd w nowey Hiſzpanii. Sniło mu ſię: jakoby pierwſzy Miniſter niełaſkawie na niego patrzał, co tak go ſtrwożyło, iż ſię ze ſtrachu przebudził. Uwa-

Uważam także, mówił *Kleofas*, damę młodą, ktòra ſię tylko co przebudziła, zdaje ſię niebardzo być z ſnu ſwego kontenta. Jeſt to zacnego urodzenia oſoba, odpowiedział Kulawy, tak piękna jak rozumna. Ma ona dwóch *Amantòw*, z których jednego aż nadto kocha, a drugiego nadzwyczaynie nienawidzi, miała teraz ſen, w ktòrym widziała u nòg ſwych leżącego niemiłego kochanka, ten tylko ſię wydawał kochającym y nalegającym, że gdyby ſię była nie przebudziła, okazałaby bez wątpienia tyle do niego dowodòw przychilności, ile nigdy ſwemu *Amantowi*, którego prawdziwie kochała. Natura we śnie przewyżſzyła moc rozumu y cnoty.

Niedaleko od nas mieſzka jeden Kupiec materyi jedwabnych, ktòry przedaje bardzo drogo ſwe towary, lecz na kredyt wielkim tylko Panom, którzy mu więcey niż

ſto

ſto tyſięcy czerwonych złotych winni. Sni mu ſię teraz; jakoby wſzyſcy jego dłużnicy odnoſili mu pieniądze, jego zaś Korreſpondentom ſni ſię, iż w krótce zoſtaje Bankrutem. Te dwa ſny, rzekł *Zambullo*, podobno nie przez jedneż Kościoła ſnów drzwi wyſzły. Wielka prawda, odpowiedział Diabeł, y drugi ſen bez wątpienia, prawdziwſzemi wyſzedł drzwiami.

W bliſkim domu od Kupca, mieſzka ſławny Xięgarz, od niedawnego czaſu wyjął z pod praſſy xiążkę, która mile bardzo od powſzechności przyjęta, obiecał Autorowi pięćdzieſiąt piſtolów, jeżeli pozwoli mu ją przedrukować. Sni mu ſię teraz, iż drugą wydał edycyą, nic o tym Autora nie uwiadamiając.

Ani wątpię o tym ſnie, że jeſt prawdziwy; rzekł *Zambullo*, znam ja tych Panów Xięgarzów, naymnieyſzych nie mają ſkrupułów w oſzuka-

oſzukaniu Autorów. Nic nad to prawdziwſzego, odpowiedział Diabeł; lecz naucz ſię także doznać, że y Panowie Autorowie niemniey ſą ſkrupulatnemi od Xięgarzów. Maleńki przypadek, który ſię tu trafił w *Madrycie*, objaśni cię w tym:

Trzech Xięgarzów jedli razem kollacyą w pewney auſteryi, mowa wſzczęła ſię o nowych xiążkach Moi przyjaciele, rzekł jeden, powiem wam w ſczerości: zyſkałem dziwną rzecz dobrą y nieoſzacowaną wczoray; to jeſt kupiłem manuſkrypt, który chcę wydrukować, lubo wprawdzie bardzo drogo mi koſztuje, ale też od ſławnego pochodzi Autora, można mòwić, iż to jeſt złoto w ogniu polerowane. Drugi Xięgarz odezwał ſię także; y zaczął ſię wychwalać, iż y on wyborną także rzecz zyſkał, którą też drogo opłacił. Y odezwał ſię trzeci, niechcę przed wami nic taić, pokażę zaraz wam

mo-

moje pismo, którem zapewne drożey od was zapłacił; ale też przyznać można, że to jest perła manuskryptów. To mówiąc dobył każdy z kieszeni tey drogiey kopii; była to nowa sztuka teatralna nazwana *Zyd błąkający się*. Co za podziwienie było tych Xięgarżów, gdy obaczyli, iż im wszystkim z osobna, jedna rzecz była tak drogo przedana.

Powiedz mi proszę, rzekł *Leandro*: dla czego ten człowiek śpiący w tym szarym łóżku, rzuca się jak opętany? jest to, odpowiedział *Kulawy*: zacny jeden Duchowny, który ma sen bardzo niespokoyny, śni mu się iż dysputuje z jednym Doktorem Medycyny, utrzymując nieśmiertelność duszy, ten zaś Doktor tyle jest dobrym Katolikiem, ile jest dobrym Lekarzem.

Na drugim piętrze tegoż domu, mieszka jeden Szlachcic *Extramadurski* nazwany *Don Baltazar Fanfaro-*

faroniko, ktòry tu przybiegł pocztą do Dworu *Hiſzpańſkiego*, proſząc o nadgrodę, za zabicie w batalii jednym ſtrzeleniem *Portugalczyka*. Sni mu ſię teraz, iż mu dano Rząd *Antekwery*, y jeſzcze z tego nie jeſt kontent, rozumie, iż przynaymniey na Vice-Kròleſtwo zaſłużył.

Poſtrzegam także człowieka znacznego, mającego ſen niebardzo przyjemny; jeſt on Generałem y Kommendantem Fortecy. Sni mu ſię, jakoby był oblężony, y że po niejakim czaſie odporu, muſiał nakoniec poddać ſię y pòyść w niewolą z całym ſwoim garnizonem.

W tym wielkim domu na lewey ręce, mieſzka ſtary kawaler Orderu Złotego Runa, ktòry niegdyś był Vice-Kròlem *Mexyki*; zachorował teraz, a ponieważ rozumie ſię być bliſkim śmierci, bardzo go dawnieyſze Rządy *Mexyki* przerażają y trwożą. To pewna, że ſpoſob, ktòrym je ſprawował, niedaremną w nim bojaźń

jaźń wzbudza. Piſarze Kronik nowey *Hiſzpanii* niebardzo go uczciwie wſpominają. Ma teraz ſen przykry, z którego ſię jeſzcze nie przebudził, y który może będzie przyczyną przybliżenia jego śmierci. Sen jego, rzekł *Zambullo*: muſi mieć w ſobie cóś nadzwyczaynego? opowiem ci zaraz, odpowiedział *Aſmodeuſz*: w rzeczy ſamey jeſt oſobliwy.

Sni mu ſię teraz, jakoby ſię znaydował na tamtym świecie między umarłemi, gdzie wſzyſcy *Mexykanie*, którzy ſię ſtali ofiarą jego nieſprawiedliwości y okrucieńſtwa, napadli na niego, y z wielką obelgą łżyli go, chcieli go nawet rozſiekać, lecz on ſię przed ich zapalczywością, ucieczką ratował. Wſzedł potym na wielką jedną ſalę, bardzo ciemną y czarnym obitą ſuknem, gdzie obaczył ſwego oyca y dziada ſiedzących przy ſtole na dwòch krzeſłach, a trzecie próżne ſtojące; te ſmutne oſoby dały znak, aby ſię zbliżył, co

gdy

gdy uczynił, oyciec rzekł do niego z poważną miną: od dawnego czasu już na ciebie czekamy, zasiądź tedy twe mieysce między nami, które ci jest naznaczone.

Osobliwy sen, zawołał Uczeń, nie dziwuję się choremu, iż takowym snem ma pomieszaną immaginacyą. W nadgrodę tego, rzekł *Kulawy*: sietrzenica jego w bliskim śpiąca pokoju, miley daleko noc przepędza. Sen podchlebnemi bawi ją wyobrażeniami. Jest to Panna dwadzieścia pięć lub trzydzieści lat mająca, szpetna y niekształtna; śni się jey teraz, iż Wuy jey, którego jedyną jest dziedziczką, już nie żyje, y że widzi koło siebie młodych y pięknych kawalerów, którzy jeden przed drugim ubiegają się o pozyskanie jey łaski.

Smieję się bardzo, rzekł *Kulawy*: z pewnego mieszczanina, który wiele ma trudności, aby uczciwie żyć mógł z pozostałych sprzętów. Ma

teraz

teraz taki ſen: iż bardzo wiele zbiera ſztuk złotych y ſrebrnych, y im więcey ich zbiera, tym więcey mu ich do zbierania zoſtaje, y już wielki niemi napełnił kufer. Biedny człowiek, rzekł *Leandro*: nie długo ſię będzie cieſzył ſwoim ſkarbem; aż do ſwego przebudzenia odpowiedział *Aſmodeuſz*: będzie on wyobrażeniem prawdziwęgo bogacza, który umieraiąc widzi ſwe doſtatki znikaiące.

Powiedz mi, ſpytał *Leandro*, co to jeſt za Dama śpiąca na wſpaniałym axamitnym łòżku? przy ktòrym ſtoi ſtolik z Xiążką y świecą. Jeſt to, odpowiedział Diabeł: pierwſzey dyſtynkcyi Dama, ktòra żyje wſpaniale y wielki Dwor chowa, naywięcey zaś ſtara ſię o to: aby w jey liberyi, piękni tylko y młodzi chodzili męſzczyźni. Ma zwyczay zawſze idąc ſpać czytywać, gdyż inaczey zaſnąćby nie mogła. Wczoray w wieczor czytała przemiany

Owi-

Owidiusza, co jest przyczyną osobliwego jey śnienia. Zdaje się albowiem, iż Jowisz w niey się zakochał, y że przystaje do niey na służbę za Pazia, pod postacią pięknego y kształtnego młodzieńca.

Diabeł chciał jeszcze daley mòwić, lecz *Zambullo* przerwawszy mu, rzekł: Panie *Asmodeuszu*, nie uważasz widzę tego, iż już dobrze dnieć zaczyna, bardzo się boję, aby nas nie postrzeżono; gdyby nas ludzie przechodzący zoczyli, bez wątpienia wielki stałby się rozruch, y wkròtce całe miasto na toby się zgromadziło mieysce.

Nie obawiay się tego, odpowiedział Diabeł: mam tęż samą moc, jaką niegdyś bajecznym Bogom przypisywano, gdy na gòrze nazwaney *Ida*, miłośny syn *Saturna* okrył się obłokiem, aby ukrył przed światem karessy y przymilenia, ktòre *Junonie* czynił; y ja także, tak gęstą opaszę się chmurą, iż jey oczy

ludzkie przeniknąć nie będą mogły, która z tym wſzyſtkim, nie przeſzkodzi widzieć te rzeczy, które ci zechcę pokazać. W rzeczy ſamey, byli otoczeni niby gęſtym jakim dymem, który widzeniu *Zambullona* bynaymniey nie przeſzkadzał.

Powróćmy do ſnów, mówił daley *Kulawy*.... Lecz ja wcale baczności na to nie mam, iż ty całą noc bezſennie przepędziłeś, y że bez wątpienia jeſteś znużony, wieſzże co chcę uczynić, znaioſę cię do twego domu, gdzie, gdy ſię prześpiſz, powrócę znowu do ciebie, a tym czaſem obiegnę cztery części świata, y poczynię w nich niektóre rzeczy do mnie należące. Wcale mi ſię ſpać niechce, odpowiedział *Kleofas*: y nie jeſtem znużony, a zamiaſt, cobyś mię miał opuścić, uwiadom mię raczey o zamyſłach tych oſob, które wſtawſzy zabierają ſię do wyiścia z domu, co oni tak rano chcą robić? to, co ty żądaſz, odpowiedział Diabeł:

beł: jeſt rzeczą godną uwagi; obaczyſz zaraz wyobrażenie ſtarania, zabiegow y trudòw ludzi śmiertelnych, które oni podeymują dla przepędzenia przyjemnieyſzego tego małego przeciągu czaſu, ktòry jeſt między ich urodzeniem y śmiercią.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Pokazujący wiele Oryginałów, które nie ſą bez kopii.

Uważaymy zaraz kupę tych żebraków, ktòra ſię na ulicy teraz pokazała, ſą to ludzie bardzo rozwięźli y nie wſtrzemięźliwi, większa część ich dobrego y zacnego urodzenia, żyją wſzyſcy poſpołu jak Mniſi, y przepędzają wſzyſtkie nocy na roſpuście w ſwym domu, gdzie zawſze mają doſyć przygotowanego chleba, mięſa, y wina. Otoż widziſz, że ſię teraz rozłączają, aby ſwoje pod Kościołami y domami zaczęli grać role. W wieczor zas zgromadzą ſię razem, aby pili y jedli za

zdrowie osob miłosiernych, ktòrzy przez swe jałmużny, do wydatkow ich przykładają się. Uważay, jak ci Filuci umieją się ułożyć y przestroić dla pobudzenia ludzi do litości nad niemi. Kokietki doskonaley y lepiey nie potrafią przekształcić się dla pobudzenia do miłości.

Patrz z pilnością na tych trzech, ktòrzy z jedneyże wychodzą strony, ten, ktòry jest wsparty na kulach, y ktòrego całe ciało drżące się być zdaje, z tak wielką chodzi trudnością, iż rozumiałbyś, że za każdym stąpieniem na ziemię upadnie. A chociaż ma długą y białą brodę y minę bardzo kwaśną y krzywą, z tym wszystkim, jest to człowiek młody, y dosyć przystoyny, a do tego, dobrego urodzenia. Tak zaś jest zdrowym y letkim, iżby się w biegu mògł zrównać z Jeleniem. Drugi, ktòrego głowa y twarz skòrą jest okryta, jest Paziem Dworskim. A trzeci, ktòry łachmanami

jest

jeſt okryty, tak dziwnie może zmyślić głos lamentujący, iż nie maſz żadney takiey oſoby y nayſtarſzey nawet, którąby y z czwartego nie zbiegła piątra dla dania mu jałmużny, y dla pozbycia ſię przykrych jego krzyków.

Pod ten czas, gdy ci Filuci pod maſką ubóſtwa odzierają powſzechność z pieniędzy, widzę także wiele pracujących, którzy lubo *Hiſzpani*, zarabiają jednak na ſpoſob do życia z potem czoła ſwego. Widzę ze wſzyſtkich ſtron ludzi wſtających y ubierających ſię dla ułatwienia różnych intereſſów. O jakże to wiele projektów ułożonych tey nocy, mają być uſkutecznione lub zniſzczone w tym dniu! ſiłaż to kroków intereſs, miłość, y ambicya mają dziś uczynić?

Cóż to ja widzę, przerwał *Don Kleoſas*? ktoż to jeſt ta kobieta, która mi ſię zdaje być obciążoną metalami jakiemiś y świętościami, z wiel-

kim

kim jak uważam idzie pośpiechem, a Lokay przed nią idący, do jakiegoś ją wprowadza domu, musi mieć pilną potrzebę. Bez wątpienia, odpowiedział Diabeł: ta czci godna Matrona wchodzi teraz do tego domu, gdzie bytność jey bardzo jest potrzebna. Znaydzie tam Komedyantkę, ktòra będąc w bolach, wielkie wydaje jęki. Koło niey zaś jest dwóch kawalerów, wielce tym strwożonych. Jeden z nich jest mężem jey, drugi zaś człowiek dystyngwowany, ktòrego to także mocno obchodzi. Gdyż połogi kobiet teatralnych, podobne są do połogow *Alcymeny*; jest zawsze przy nich *Jowisz* y *Amphitrion*, ktòrzy są owego dzieła Autorami.

Widząc tego kawalera niedaleko nas przejeżdżającego na koniu y z karabinem na plecach, można mòwić, iż to musi być jaki strzelec, ktòry jedzie wydawać batalią zającom y kuropatwom około *Madrytu*. Z

tym

tym wſzyſtkim nie ma on chęci tą zabawiać ſię rozrywką. Jedzie on do pewney wioſki, gdzie ſię ma w wieśniacki ſtròy przebrać dla weyścia do jednego Folwarku, w ktòrym jego mieſzka kochanka pod ſtrażą matki oſtrey y czuyney.

Uważay w tym domu na przeciwko nas człowieka, ktory kładąc płaſzcz na ſiebie, zabiera ſię do wyiścia. Jeſt to uczciwy, y bogaty mieſzczanin, ktòrego rzecz pewna zatrudnia. Ma on jedynaczkę còrkę na wydaniu, niewie ſam czy ją wydać za młodego Prawnika, ktòry ſię o nią ſtara, czyli też za pyſznego *Hidalga*, który ją mieć życzy. Idzie teraz radzić ſię ſwoich przyjaciòł; ſam niewiedząc, czego ſię ma trzymać. Boi ſię, biorąc za zięcia Szlachcica, aby nie był od niego pogardzonym. Obawia ſię także y Prawnika, y przemyśla nad tym, aby wziąwſzy go do ſwego domu, nie wpuścił tam robaka, ktòryby jego wſzyſt-

wszystkie dostatki y meble mógł pogryść.

Oznaym proszę, rzekł *Zambullo*, kto jest ta piękna Dama, która siedząc przy gotowalni rozmawia z kawalerem bardzo przystoynym? to, cóś ty postrzegł, odpowiedział *Kulawy*: godną jest rzeczą twojey uwagi. Dama ta jest wdowa z *Niemiec*, która żyje w *Madrycie* z swych zapisów y dożywocia, y w dobrych mieści się kompaniach. Kawaler, którego z nią widzisz, nazywa się *Don Antonio de Monsalve*.

Lubo Kawaler ten z naypierwszych pochodzi domów, przyobiecał tey wdowie, iż się z nią ożeni, dał jey nawet skrypt na siebie na trzy tysiące pistolów, jeśliby danego nie miał dotrzymać słowa. Lecz tak jest prześladowanym od Rodziców y Familii, iż mu grożą zamknięciem w więzieniu, jeżeli swey miłości y bywania u wdowy nie zaniedba; którą tylko za awanturni-

cę

cę y podeyrzaną osobę mają. Młodzieniec zmartwiony, iż się wszyscy jego sprzeciwiają życzeniom, przyszedł wczora w wieczor do swey kochanki dla przepędzenia mile czasu; ta postrzegłszy smutek po jego twarzy, pytała się o przyczynę; którą on jey zaraz opowiedział: dodając przytym, iż wszystkie sprzeciwiania się Familii, nie potrafią osłabić jego stateczności. Wdowa dziwnie była ucieszona z tey stałości; rozeszli się tedy oboje, jedno z drugiego bardzo kontenci.

Monsalve przyszedłszy dzisiay rano, znalazł swą Damę przy gotowalni, y zączął z nią o swey rozmawiać miłości. Pod ten czas wdowa zdeymowała swe papieloty, kawaler przez zapomnienie wziął jeden; lecz rozwinąwszy go, poznał swóy charakter; y jakże moja Pani, rzekł z uśmiechem? na toż to obracasz miłośne billety, które do ciebie piszą? tak jest, odpowiedziała; widzisz, na

co

co zażywam obietnic Amantów, którzy chcą ſię ze mną żenić na złość ſwojey Familii. Kawaler przypatrzywſzy ſię lepiey, poznał, iż to był ów zapis trzech tyſięcy piſtolów, który ſwey ofiarował damie: y który ona podarła. Dziwił ſię bardzo wſpaniałości y nie intereſſowaniu ſwey wdowy, y tak był tym tknięty, iż na nowo poprzyſiągł jey wieczną miłość y ſtateczną wierność.

Obròć oczy, mówił daley Diabeł, na tego ſluſznego y wyſchłego człowieka przechodzącego koło nas: trzyma on pod pachą wiele papierów, y kałamarz zawieſzony u paſa, y gitarę na plecach. Ta oſoba, mówił *Zambullo*, ma minę śmieſzną, muſi to być coś oſobliwego? prawda, odpowiedział *Kulawy*: jeſt to jeden z Filozofów, wychodzi on teraz na łąkę, gdzie piękna fontanna czyſtey wody ſprawuje ſtrumyki: które ſię wężykiem po między kwia-

ty

ty rozchodzą, tam to on całe dni swoje trawi, zdumiewając się nad pięknością natury, przegrywa sobie na gitarze, a uczyniwszy nad tym niektóre uwagi, wpisuje one w swoje Xięgi. Ma zawsze przy sobie swą zwyczayną żywność; to jest: kawałek chleba z kilko cybulami. Takie to życie wstrzemięźliwe prowadzi od lat dziecięciu; y gdyby *Arystyp* znalazł się jaki, któryby mu tak mòwił, jak niegdyś *Dyogenesowi*: gdybyś umiał nadskakiwać Panom, nie jadłbyś samey cybuli; ten Filozof odpowiedziałby mu: zasługiwałbym się y ja Panom, jako y ty, gdybym na to mògł pozwolić, aby człowiek ròwnemu z sobą stworzeniu, mógł się uniżać y być jemu poddanym.

W rzeczy samey Filozof ten, był przedtym przy wielkich Panach, którzy mu nawet do zrobienia fortuny dopomagali, lecz poznawszy, że ich przyjaźń była dla niego ho-

nor

nor tylko czyniącą służbą, porzucił ich y wszelkie z niemi obcowanie. Miał także y karetę, lecz zważywszy, iż tym przesadzał wyższych od siebie, darował ją. Rozdał także wszystkie swoje dostatki między przyjaciół, którzy nawet tego y niewarci byli, zostawił sobie tyle tylko, ile mu potrzeba do prowadzenia życia takiego, jakie teraz prowadzi. Gdyż mu się to nie zdało, aby Filozof miał żebrzeć chleba tak u pospólstwa, jako y u Panów.

Uboleway nad tym kawalerem, rzekł *Asmodeusz*, który za Filozofem idzie, mający przy sobie pieska, może się z tym pochwalić, iż z naypierwszych w *Kastylii* pochodzi domow; przedtym bardzo bogaty, lecz się ze wszystkim zniszczył, hoynie szafując pieniędzmi y przyimując codziennie swych przyjaciół, a osobliwie wspaniale dając uczty dla Xiążąt y Xieżn, w dzień ich urodzenia, lub imienin. Gdy postrze-

żono,

żono, iż mienie jego było na ſchyłku, wſzyſcy go przyjaciele y znajomi odſtąpili, chociaż im wielkie czynił świadczenia Jeden mu tylko wiernym y przychylnym zoſtał, to jeſt: pies jego, ktory za nim bieży. Ten pamiętając jak mu przed tym dobrze było, chociaż teraz głod cierpi, Pana jednak ſwego odſtąpić niechce.

Powiedź mi P. *Aſmodeuſzu*, rzekł *Leandro*: do kogo należy ta kareta, ktora przed bliſkim nas domem ſtanęła? do bogatego y ſtarego Konſyliarza, odpowiedział Diabeł, ktòry codziennie z rana do tego przyjeżdża domu, gdzie ma ſtaranie o pewney młodey piękności, ktorą nadzwyczaynie kocha, dowiedział ſię wczoray w wieczor, iż mu ſię przeniewierzyła; w zapalczywości, w ktorą go takowa wprowadziła nowina, piſał liſt do ſwey kochanki pełen wymowek y pogrożek; niewieſz co uczyniła? zamiaſt, co by

ſię

ſię miała zaprzeć tego, o co ją poſądzano, piſała dziś rano do ſwego Amanta, iż ſprawiedliwie na nią był urażonym, y że powinien ją odtąd mieć w pogardzie: iż śmiała tak zacnego y miłości godnego zdradzić człowieka; że uznaje ſwą winę, brzydzi ſię nią, y że dla ukarania ſiebie, uſtrzygła ſwe piękne włoſy, których wiedziała, iż on był czcicielem, a nakoniec, iż była rezolwowaną przepędzić reſztę dni ſwoich na pokucie.

Stary ten kochanek, tak był poruſzony tym zmyślonym żalem ſwey *Amantki*, iż tegoż momentu do niey pośpieſzył, znalazł ją całą we łzach, a ta dobra Komedyantka, tak doſkonale ſwoją grała rolę, iż wſzyſtko jey przebaczył: y więcey jeſzcze uczynił, bo chcąc ją pocieſzyć, po ſtracie pięknych jey włoſów; obiecał uczynić ją Ziemianką, co y uſkutecznił, kupiwſzy dla niey piękną Wieś, która ſię na ten czas właśnie trafiła. Wſzyſt-

Wszyftkie widzę fklepy już fą otwarte rzekł *Zambullo*, poftrzegam jakiegoś kawalera wchodzącego do traktierni. Młodzian ten, odpowiedział *Afmodeufz*, z znaczney pochodzi Familii; lecz chwycił fię głupftwa, pifania, y czynienia fię Autorem; ma on wprawdzie dofyć rozumu do krytykowania dzieł y pifm innych Autorow, lecz niema go tyle, aby mógł fam co rozumnego ułożyć. Wchodzi on teraz do Traktiera, aby tam obftallował obiad dla czterech Komedyantow, ktòrych chce tym zniewolić do utrzymywania jedney złey fztuki teatralney, ktòra jego napifana jeft fpofobem, y którą chce całemu ich zgromadzeniu pokazać.

Gdy mówiemy o Autorach, rzekł *Afmodeufz*, uważayże y tych dwóch, ktòrzy fię teraz z fobą na ulicy fpotkali; czy widzifz z jak złośliwym przywitali fię uśmiechem? pogardzają oni fobą wzajemnie, y mają przyczynę: gdyż jeden z nich z ta-

ką piſze łatwością, jak Poeta *Kriſpinus*, którego Horaciuſz przyrównywa do kowalſkiego miecha; drugi trawi czas na piſaniu dzieł nieſmacznych, y na nic niezdatnych.

Ktoż to jeſt ten niſki człowiek, który wyſiada z karety przy drzwiach Kościelnych? zapytał *Zambullo*: jeſt to, odpowiedział Kulawy, oſoba godna uwagi. Od dzieſięciu lat porzucił piſarſtwa nauki, y wſtąpił do *Kartuzyi w Sarogoſie*. W ſześciu Mieſiącach ſwego Nowicyatu uciekł z Klaſztoru, y przybył do *Madrytu*, ci, którzy go znali, dziwili ſię mocno, iż w krótkim czaſie ſtał ſię Konſyliarzem rady *Indyiſkiey*. Dziwują ſię jeſzcze do dnia dziſieyſzego: iż w krótce do tak znaczney przyſzedł fortuny. Jedni mówią, że ſię Diabłom muſiał zapiſać, drudzy, iż od jakiey dziedziczki bogatey był kochany. Inni nakoniec rozumieją, że ſkarb wielki znaleść muſiał. Lecz ty o tym naylepiey wiedzieć muſiſz, rzekł, *Zam-*

Zambullo! bez wątpienia, odpowiedział Diabeł, y zaraz ci ten odkryję ſekret.

Pod ten czas, gdy naſz kochany Mnich był w Nowicyacie, trafiło ſię, iż kopiąc dnia pewnego doł w ogrodzie dla wſadzenia w weń drzewa, poſtrzegł ſkrzyneczkę czarną ſkurą pokrytą, gdy ją otworzył, poznał, iż było złoto, y zamykała w ſobie więcey trzydzieſtu dużych brylantow, chociaż ſię nie bardzo dobrze znał na kleynotach, ſądził jednak, iż coś dobrego znalazł. Wziął tedy przed ſię rezolucyą podobną owemu *Gripuſowi* w komedyi *Plauta*, ktory porzucił ryb łowienie, gdy ſkarb znalazł, y on także porzuciwſzy klauzurę, udał ſię do *Madrytu*, gdzie za pomocą jednego *Jubilera*, zamienił dyamenty w złoto, a złoto w Urząd Konſyliarza, co go znacznym w ſpołeczeńſtwie ludzkim czyni.

ROZDZIAŁ SZOSTY.

O tym, co Diabeł jeſzcze pokazywał ciekawego Don Kleoſaſowi.

Trzeba, mòwił daley *Aſmodeusz*, abym cię rozśmieſzył opowiadając o tym człowieku, ktòry wſzedł teraz do traktierni, jeſt to Doktor *Biſkayczyk*, gdzie ma pić czokoladę, zkąd potym wyſzedłſzy, dzień cały trawi na graniu w ſzachy.

Nie dziwuy ſię, iż tak mało o ſwych dba Pacyentow, gdyż nie ma żadnego; y gdyby nawet ich miał, momenta, ktòre na graniu trawi, nayſkutecznieyſzym dla nich byłyby lekarſtwem. Chodzi on co wieczor do jedney bogatey wdowy, z ktòrąby ſię rad ożenił, y udaje po ſobie, iż ſię w niey paſſyami kocha, gdy jeſt u niey. Sługa jego z namowy Pana przynoſi mu regeſtr, ktòry w ſobie imiona godnych oſob zawiera, y ktòre on za ſwoich udaje Pacyentow, wdowa wſzyſtkiemu temu wie-

rzy,

rzy, y nasz gracz szachow w krótce przez ten wybieg swego dokaże zamyslu.

Zatrzymaymy się przy tym domie, przy którym teraz jesteśmy, niechcę go minąć bez pokazania ci osob w nim mieszkających. Przebież wzrokiem wszystkie pokoje, y uważay, co w nich jest. Widzę odpowiedział *Kleofas*, damy, których pięknością prawie zaślepiony jestem, o jak siłaż one wdzięków moim ofiarują oczom! zdaje mi się, iż widzę *Nimfy Daynny*, takie jakiemi Poeci ich opisali. Jeżeli te damy, nad któremi się ty zadziwiasz, mają wdzięki *Nimf, Daynny* nie mają zapewne ich czystości, są to cztery czyli pięć *Awanturniczek*, które razem mieszkając, żyją z cudzego dobra, zwabiając młodzież do siebie. Nieszczęśliwi są ci, którzy się im uwieść dadzą, y ażeby ostrzedz męszczyzn o ich niebeśpieczeństwie, trzebaby przed ich domem postawić slupy, jakie się stawia-

ją nad brzegiem morza dla ostrzeżenia podróżnych, iż mieysca te są dla nich niebeśpieczne: aby się do nich nie przybliżali.

Ci Panowie, których widzę w karetach, rzekł *Leandro*, zapewne do Pałacu Królewskiego jadą dla assystowania Monarsze przy jego wstawaniu. Prawda, odpowiedział Diabeł: zaprowadzę cię zaraz, gdzie różnym będziesz się przypatrywał rzeczom; nic nad to dla mnie milszego, rzekł *Zambullo*: dziwnieś mię swoją ukontentował obietnicą.

Diabeł chcąc uskutecznić swe przyrzeczenie, przeniosł się wraz z *Kleofasem* na Pałac Królewski. A gdy już na wschodach stanęli, obaczyli wiele Dworskich Panow wchodzących na górę; a ponieważ koło nich przechodzili, Diabeł jak z regestru czytał, wskazując każdego z osobna jednego po drugim. Oto ten pierwszy jest Hrabia *Villalonso*, drugi *Marquis de Castro Fuerte*, ten zaś *Don*

Lo-

Lopes de los Rios Prezydent rady dochodow Królewſkich. Ten, co z tey ſtrony wchodzi, jeſt Hrabia *de Villa Hombosa*. Nie kontentował ſię tym tylko Diabeł, iż imiona ich powiadał, lecz jeſzcze ten duch złośliwy, każdemu jakąś ſatyryczną przypiął łatkę. Ten Pan wſkazując na jednego: jeſt grzeczny y przyſtępny, z wielką każdego ſłucha przyjemnością, gdybyś naprzykład, w czym jego potrzebował pomocy, wſpanialeby ci ją ofiarował, przyobiecałby cały ſwóy na to łożyć kredyt, co tylko ſzkoda, że człowiek ten, który z tak wielką wſzyſtko grzecznością przyrzeka, ma tak krótką pamięć, iż w kwadranſie o tym wſzyſtkim, co przyobiecuje, zapomina.

Ten Xiąże, wſkazując na drugiego, jeſt to Pan w całym Dworze charakteru naylepſzego, nie jeſt on takim, jak wielu jemu równych, co moment odmieniających ſwe humory, żadnych nie ma kapryſſow, dodając

dając jeſzcze y to, iż nie płaci nie wdzięcznością przywiązania y uſług jemu uczynionych; lecz na nieſzczęście, tak jeſt opieſzały w poznaniu onych y w nadgrodzie, iż bardzo długo ſprawiedliwie zaſłużeni czekać onych muſzą. A gdy je nawet y odbierają: rozumieją, iż drogo ſobie kupują przez długie oczekiwanie.

Gdy Diabeł opowiedział dobre, y złe przymioty wielu Panow, zaprowadził *Kleofaſa* do jedney ſali, gdzie rożney kondycyi znaydowali ſię ludzie, a oſobliwie kawalerowie S. Jakóba. Cóż to ja widzę, zawołał *Kleofas!* jakaż mnogość tych kawalerow orderowych? zdaje ſię, iż cała Hiſzpania niemi jeſt napełniona. Prawda, odpowiedział Kulawy, lecz nie maſz ſię czemu dziwować, gdyż teraz nie jeſt tak trudno zoſtać kawalerem S. Jakòba, jak niegdyś było zoſtać Rzymſkim kawalerem, gdyż w Rzymie był ten zwyczay, iż ſtarający ſię o Urząd kawalerſki, po-

wi-

winien był mieć dwadzieścia tyſięcy talarow ſwojey ſubſtancyi, y znaczne w Oyczyźnie zaſługi.

Przypatrz ſię, mówił daley, tey kwaśney twarzy, która ſtoi za nami, mów ciſzey, przerwał mu *Zambullo*, ten człowiek może nas uſłyſzeć, bynaymniey, odpowiedział *Aſmodeuſz*. Ta ſama chmura, która nas czyni niewidzialnemi, nie dopuſzcza także ſłyſzeć naſzych rozmow. Przypatrz ſię tedy tey figurze: człowiek ten tylko co z wyſp *Filipinſkich* powrócił, gdzie doſyć znaczne Rycerſkie poczynił dzieła. Chce dziś podać ſupplikę Królowi, proſząc go za to o nadgrodę, lecz wątpię, aby mógł co wſkórać, dla tego, iż ſię do pierwſzego wprzód nie udał Miniſtra, y onemu połowy wziętey ſwey nadgrody dać nie przyrzekł.

Don Kleofas ciekawym był dowiedzieć ſię, ktoby był ów kawaler rozmawiający z jednym Duchownym. Jeſt to, odpowiedział *Kulawy*, *Katalon-*

lończyk, a przy tym Officyer gwardyi Hiszpańskiey. Młodzieniec ten dosyć ma rozumu, y muszę ci opowiedzieć odpowiedź jego, którą pewney dał damie bardzo w znaczney kompanii; lecz ażebyś to lepiey zrozumiał, trzeba wiedzieć, iż on ma brata nazwanego *Don Andrzey de Prada*, który przed kilko lat, był także Officyerem w tymże samym korpusie.

Trafiło się dnia jednego, iż Dzierżawca jeden arend Królewskich, spotkał tego *Andrzeja*, y rzekł do niego: Mci P. *Prada*, toż samo co y ty noszę nazwisko, lecz Familie nasze są od siebie różne, wiem to dobrze, iż z nayznacznieyszych w *Katalonii* pochodzisz domow, lecz wiem y to, że nie jesteś bogaty: ja zaś mam dosyć dostatkow, chociaż niskiego jestem urodzenia. Czy nie możnaż ażebyśmy jeden drugiemu co z naszego dobra udzielili? czy masz dowody swego u siebie szlachectwa y

ge-

genealogią? mam, odpowiedział *Don Andrzey*; jeżeli tak jeſt, rzekł Dzierżawca, chciey mi onych użyczyć, oddam je w ręce ſławnego Genealogiſty, który nas w krótce zkolligaci na złość naſzym Pradziadom. Ja zaś z moiey ſtrony zawdzięczaiąc to, ofiaruję ci trzydzieści tyſięcy piſtolow. Czy zgoda na to? *Don Andrzey* tak był tą ofiarą zniewolony, iż przyjął bez rozmyſłu propozycyą, oddał ſwe papiery Dzierżawcy, a za pieniądze od niego wzięte, kupił ſobie dobrą wioſkę w *Katalonii*, w którey do tych czas mieſzka.

Brat zaś jego młòdſzy, który nic na tym handlu nie zyſkiwał, był wczoray w pewnym mieyſcu na obiedzie,gdzie przypadkiem wſzczął ſię dyſkurs o Dzierżawcy arend Krolewſkich, w ten czas dama jedna z owey kompanii, obròciwſzy ſię do młodego Officyera,pytała go, jeżliby nie był krewnym owego Dzierżawcy. Nie, Pani odpowiedział, nie

mam

mam tego honoru, mòy to brat jest jego kolligatem.

Zambullo postrzegł człowieka małego wzrostu, który idąc za jednym dworskim Panem, tysiączne mu czynił ukłony. Zapewne o jaką prosi łaskę, rzekł do *Asmodeusza*. Opowiem ci zaraz wszystko, odpowiedział Diabeł. Ten niski człowiek, jest uczciwy mieszczanin, mający piękny dom wieyski w bliskości *Madrytu*, y w takim mieyscu, gdzie są wody mineralne, które to teraz bardzo są sławnemi. Pozwolił tego domu temuż samemu Panu, na kilka miesięcy bez naymnieyszey płaty, ten mu zaś za to w każdey okazyi swoją przyrzekł pomoc. Mieszczanin w tym momencie, uprasza owego Pana, aby mu raczył w małym jednym dopomodz interessie, lecz on się z tego wymawia bardzo politycznie.

Nie mogę opuścić tego kawalera, który wchodząc teraz na salę, udaje

minę

minę człowieka dyſtyngwowanego, nic nie mając zbogacił ſię przez rachunki, większy daleko Dwór chowa od naywiększego Pana, ma oſobny ekwipaż dla ſiebie, oſobny dla żony, y inny także dla dzieci. W tych dniach kupił piękną karetę, którą gotowemi zapłacił pieniędzmi, y którą Xiąże Hiszpański targował, ale kupić nie chciał dla tego, iż mu ſię droga zdała. Co za głupſtwo, zawołał *Leandro!* gdyby Turczyn widział tego pułgłowka w ſtanie tak wywyższonym y zbytkującym, mniemałby, iż wkrótce nieszczęście naybiliższe pomiesza jego szczęśliwość: chociaż ja przyszłych rzeczy domyślać ſię nie mogę, rzekł *Aſmodeusz*, nie bądź jednak jednego z Turczynem zdania.

Przypatrz ſię z pilnością tey czci godney oſobie, która wchodzi teraz opierając ſię na ſwoim Koniuszym? czy uważasz, jak wszyſcy przed nim powſtają y mieyſce mu czynią? Pan ten, nazywa ſię *Don Józef de Reinaſte,*

nay-

naywyżſzy Sędzia dobrego porządku, przychodzi uwiadomić o tym Króla, co ſię tey nocy w *Madrycie* ſtało. Przypatrz ſię z zadziwieniem temu uczciwemu ſtarcowi.

W rzeczy ſamey, rzekł *Zambullo*, zdaje ſię być uczciwym człowiekiem; byłoby czego życzyć, odpowiedział Kulawy, aby wſzyſcy przełożeni y Sędziowie z niego przykład brali, nie jeſt on jeden z popędliwych, ktòrzy bezuważnie y z porywczością ſądzą. Nie każe on nigdy poymać człowieka za ſamym tylko doniesieniem ſzpiegow, pòki o jego poſtępku nie jeſt przeświadczonym. Wie albowiem, iż ci ludzie zwykli mieć duſzę czarną, y tę często dla nadgrody, niewinnych zwykli obwiniać, y ſwey profeſſyi na zle używać, dla tego więzienie nigdy niewinnemi nie jeſt napełnione, ſami w nim tylko wyſtępni zoſtają, y tych nawet nie porzucą okrucieńſtwu, które w owych panuje lochach.

Często

Często sam tych nieszczęśliwych nawiedza, y ma o tym mocne staranie, aby nie przydawano nieludzkości y ostrości do słuszney kary, ktòrą prawo na nich nawet włożyło.

Co za przedziwny charakter zawołał *Leandro!* bardzobym był kontent, gdybym go mògł mòwiącego z Królem słyszeć. Martwi to mię nieskończenie, odpowiedział Diabeł, iż twemu życzeniu uczynić zadosyć nie mogę bez wydania się na przykrość, ktòraby mię potkać mogła. Wieszże o tym, iż niewolno mi tu się zbliżać, byłoby to przywłaszczać sobie prawo *Lewiotana*, *Belfegora*, y *Astarota*, powiedziałem ci już że te trzy duchy zawsze są przy boku Krölow y Xiążąt, y niemi według upodobania y interessu swego władają, a więc zakazano jest wszystkim innym duchom przybliżać się do dworu. Niewiem sam, jakom się na to odważył, y dość śmiały krok uczyniłem; gdyby te trzy duchy

mnie

mnie postrzegli, swojąby na mnie wywarli zapalczywość, a mòwiąc prawdę, ja między niemi nie byłbym naymocnieyszym.

Ponieważ tak jest, odpowiedział *Kleosas*, oddalmy się więc z tego Pałacu, bardzoby mię to martwiło, gdyby z mojey przyczyny od twych wspòł-braci miała ci się przytrafić przykrość, zwłaszcza, iżbym mojey nie mògł dać pomocy: y rozumiem, że ujęcie się moje, niewieleby ci pomogło. Prawda, odpowiedział *Asmodeusz*, oniby twych nie słyszeli razow, a tybyś od nich zginąć musiał.

Lecz dodał, chociaż ci nie mogę uczynić tego ukontentowania, ábym cię do gabinetu Monarchy mògł wprowadzić, chcę zabawić twóy umysł innym ciekawym widokiem, z którego niemniey kontent będziesz. To mòwiąc przeniosł *Kleosasa* blisko klasztoru *Merci*.

ROZ-

ROZDZIAŁ SIODMY.

O Niewolnikach.

Zatrzymali się obydwa przy jednym domu bliskim owego Klasztoru, gdzie wielkie ludzi zgromadzenie obaczyli. Co tu robi tak wiele osob, zapytał *Leandro?* y co za ceremonia ich sprowadziła? jest to rzecz takowa, odpowiedział Diabeł, któreyś ty jeszcze nie widział, chociaż się czasem w *Madrycie* przytrafia. Trzysta niewolnikow, wszyscy Hiszpani mają tu w tym momencie przybyć, powracają oni z Algieru, zkąd są wykupieni przez Oycow Trynitarzow. Wszystkie ulice, ktòrędy przechodzić mają, będą napełnione wielkim mnóstwem ludzi.

Prawda, odpowiedział *Zambullo*, że dotąd nie miałem ciekawości takowym przypatrować się widowiskom, jeżeli to już wszystko jest, cóś mi pokazać przyobiecał, przyznam ci się, iż to za żadną nie mam osobli-

ośobliwość. Znam cię dobrze, odpowiedział Diabeł: y domyślam śię, że przypatrzenie śię tym biednym ludziom, nie wielką dla ciebie jeśt zabawą. Lecz trzeba, żebyś wiedział, że pokazując ich tobie, chcę ci powiedzieć wśzyśtkie śzczegulności, tak niewoli jednych, jako y w uwolnieniu drugich: y mam nadzieję, iż śię to tobie podobać będzie. Jeżeli tak jeśt, rzekł *Kleofas*: chętnie twojey czekam uśkutecznienia obietnicy.

Pod ten czas gdy to oni z śobą mówili, uśłyśzeli wielkie krzyki, które czyniło pośpólśtwo za uyrzeniem zbliżających śię niewolnikow, którzy śzli po dwóch razem w niewolniczym ubiorze, a każdy z nich niośł na plecach długi łańcuch. Znaczna liczba Zakonnikow *Mercyi*, która była wyśzła ich śpotykać, powśiadawśzy na śwe muły, jechali przed niemi, okryci wśzyścy płaśzczami czarnemi, a jeden z tych

do-

dobrych Oycow, trzymał w ręku *Chorągiew Odkupienia*. Wszyscy młodzi niewolnicy na samym szli początku, starzy po nich następowali. Za niemi zaś jechał na koniu Oyciec duchowny tegoż samego Zakonu. Pociągał na siebie oczy patrzących przez swą powagę, a broda jego siwa y do pasa będąca, czci godnieyszym w oczach go ludzkich czyniła. Można było wyczytać z twarzy tego *Hiszpańskiego Moyżesza* radość. którą czuł z tąd, iż tak wielu Chrześcian do swey przywraca Oyczyzny.

Ci zaś niewolnicy nie wszyscy rownie są z uwolnienia kontenci; jest wielu takich między niemi, ktorzy radują się z tego, iż będą mogli swoich Rodzicow y krewnych obaczyć, lecz są y tacy, ktorzy się obawiają, aby pod czas ich niebytności takie w domach ich y Familiach nie zdarzyły się przypadki, ktoreby

im nad ſamą niewolę nieznośniey-ſzemi były.

Naprzykład tych dwòch, którzy pierwſi idą, ſą z tey liczby: jeden urodzony w miaſteczku *Velilla* w *Aragonii*, przepędził lat dzieſięć w niewoli *Tureckiey*, nie mając żadney wiadomości od ſwey żony, którą nad właſne kochał życie, za ſwym powròtem do domu zaſtanie żonę ſwoją zamężną z drugim, z którym już ſześcioro dzieci miała: y między które ſubſtancya jego jeſt wyznaczona. Drugi jeſt ſynem pewnego Kupca z *Segowii*, ten już od lat kilkunaſtu poymany był od rozboynikow morſkich, obawia ſię, aby Familii ſwey w złym nie zoſtał ſtanie: jakoż bojaźń jego nie jeſt daremna; gdyż Rodzice jego od dawnego pomarli czaſu, a bracia podzieliwſzy między ſię majątki, przez ſwoje złe y niepomiarkowane życie, wſzyſtko potracili.

Uważam z pilnością jednego nie-wol-

wolnika, rzekł *Zambullo*, y poznaję, iż z swey dziwnie jest kontent wolności. Człowiek ten, odpowiedział Diabeł: ma przyczynę cieszyć się z swego uwolnienia; dowiedział się albowiem, iż Ciotka jego bardzo bogata teraz umarła, ktòrey jest on jedynym Dziedzicem; wie tedy, iż w tych dniach, bardzo znaczną obeymie fortunę: y to to go tak ukontentowanym czyni.

Lecz nie tak się dzieje z tym nieszczęśliwym kawalerem, co z nim obok idzie, straszliwa niespokoyność w umyśle jego wzburza się, y każdy moment zbliżania się do swego domu, napełnia go wraz nadzieją y wątpliwością. W ten czas albowiem, gdy był porwany od zbòycow morskich, kochał niezmiernie pewną piękną damę, y od niey wzajemnie był kochanym, tysiączne dowody dawał swego przywiązania, y do tych czas ją jeszcze nadzwyczaynie kocha. Lęka się te-

tedy, aby pod czas jego niebytności, kto inſzy jego nie zaſtąpił mieyſca. A jakże dawno, ſpytał ſię *Kleofas*: ten kawaler doſtał ſię w niewolą? ośmnaście temu mieſięcy, odpowiedział *Aſmodenſz*: zdaje mi ſię, rzekł znowu *Leandro*: iż bojaźń tego kawalera, jeſt daremna, gdyż proba ſtateczności jego kochanki, nie bardzo długo była. Bardzo ſię myliſz, odpowiedział *Kulawy*: gdyż jak tylko jego Xiężniczka dowiedziała ſię, że był od *Turkow* poymany, zaraz ſerce ſwoje innemu oddała Amantowi.

Co myśliſz o tym wyſchłym człowieku, mòwił daley Diabeł? ktòry ma długą y gęſtą brodę? y wzrok tak ſmutny? był to kiedyś piękny młodzieniec; muſzę koniecznie hiſtoryą jego tobie opowiedzieć.

Ten człowiek nazywa ſię *Fabricio*, ſzeſnaście lat miał dopiero, gdy ociec jego umarł, ktòry był boga-

tym

tym rolnikiem w *Cynquelji*: a Obywatelem Królewstwa *Lionu*. Matka jego wkrótce także umarła, on tedy jedynym ich będąc synem, został Dziedzicem znacznego bardzo zbioru. Rząd zaś nad nim y opieka była zdana Stryjowi, pókiby do lat nie przyszedł. *Fabricio* wkrótce skończył nauki zaczęte w *Salamance*, poczynał już jeździć na koniu y dobrze sektować, wszystko z wielką czynił ochotą y sprawnością, y nic w swey edukacyi nie zaniedbał, coby go godnym względów *Donny Hippolity* uczyniło, siostry pewnego małego Szlachcica, który miał swóy dom od *Fabricego* o kroków kilkadziesiąt.

Ta Dama była cale piękna, y ledwie nie równego wieku z *Fabricym*, który ją od swego znał dzieciństwa y prawie z mlekiem wyssał ku niey miłość; *Hippolita* z swey strony za kształtnego y ładnego też go miała, lecz wiedząc: iż był synem rolnika,

nika, nie chciała go wiele poważać. Pycha jey nieznośna była, równie jako y brata nazwanego *Don Tomasz de Xaral*, tego zaś choć ubogiego Szlachcica, nikt w całey *Hiszpanii* w wyniosłości y rozumieniu o swey szlachetności nie celował.

Ten wyniosły Szlachcic miał dom na wsi, który Zamkiem nazywał, tak zaś stary y popsuty, iż ze wszech stron prędką groził ruiną, a chociaż stan jego y nie dostatek nie dozwalał, naprawić mu go, nie zaniedbał jednak zawsze chować do usług swych Lokaja, a dla swojey siostry Murzynkę.

Zabawną było bardzo rzeczą, widzieć *Dona Tomasza* w dni Swięte pokazującego się w Kościele, w sukni axamitney, koloru karmazynowego, bardzo wytartey, y mały kapelusz z starym żółtym piórem, które to stroje pod czas dni powszednich, obwinięte y zamknięte, jak jakie chował relikwie. Gdy tak był ubra-

ubranym, wielkiego zawſze minę udawał Pana, a ten jego ubior, był tylko dowodem całego jego ſzlachectwa. Zdawało mu ſię, iż aż nadto nadgradzał ukłony, które mu czyniono, jeśli łaſkawie ſpòyrzał na kogo. Sioſtra niemniey od niego była głupſzą, do tey śmieſzney pychy z ſzlachetności przydawała jeſzcze wynioſłość urody, rozumiała, iż który z wielkich Panow przyidzie zapewne do niey ſtarając ſię mieć ją za żonę.

Taki więc był charakter *Dona Tomaſza* y *Hippolity*; *Fabricio* dobrze o tym wiedział, lecz ażeby u tych tak oſobliwych ludzi, na jakieżkolwiek względy zaſłużył, głaſkał podchlebſtwami ich pychę: co tak dobrze udać umiał, że brat y ſioſtra pozwolili nakoniec, ażeby do nich uczęſzczał. A ponieważ niemniey znał wynioſłość ich jako y niedoſtatek, chciał codziennie ſwe im czynić świadczenia, lecz bojąc ſię,

aby

aby pycha ich przez to nie była urażoną, nie śmiał tego uſkuteczniać. Z tym wſzyſtkim dobroć ſerca jego znalazła y na to ſpoſob. Chcąc tedy ich wſpomodz bez zawſtydzenia onych, Panie, rzekł dnia pewnego na oſobności do Szlachcica: mam dwa tyſiące czerwonych złotych, ktòrebym rad gdzie ulokować, bądź tak łaſkaw, ſchoway mi je, wielce ci za to będę obligowany.

Wiem, iż o tym wątpić nie będzieſz, mòwił daley Diabeł: że P. *Xaral* chętnie na to zezwolił, mimo to, iż był bardzo potrzebnym pieniędzy, miał właſne ſumnienie *Depoſitora*. Wziął tedy do ſiebie ową ſummę, lecz ledwo ją do rąk doſtał, obròcił część na naprawę Zamku y na ſkupienie ròżnych rzeczy do wygody ſłużących. Suknia bardzo pięknego axamitu niebieſkiego pokazała ſię na nim w *Salamance*, y piòro piękne zielone, odebrało ſławę ſtaremu żòłtemu, ktòre od

Pra-

Pradziadow było noszone y na jego osiadło mieyscu. Piękna *Hippolita* miała też swoją z tey summy korzyść, gdyż wkrótce bardzo pięknie przystrojoną była. Tak tedy *Xaral* rozrządzał się pieniędzmi, które do niego nie należały, y których oddać nigdy w stanie nie był. Naymnieyszego z tąd nie miał skrupułu, iż one na swóy obracał pożytek; rozumiał owszem, że mieszczanin drogo opłacać był powinien znajomość y zaprzyjaźnienie z takim, jakim on był Szlachcicem.

Fabricio poznawał to dobrze, lecz rozumiał przynaymniey, że w nadgrodę tego *Don Tomasz* będzie z nim w ścisłey żył poufałości, y że *Hippolita* nakłoni się do przyimowania jego attencyi, y że nakoniec przebaczy mu śmiałość starania się o nia. W rzeczy samey wolnieyszy już do nich miał przystęp, więcey mu, niżeli przed tym okazywali przyjaźni, gdyż człowiek bogaty

jest

jeſt mile y od naywiękſzych przyimowany Panow: zwłaſzcza gdy ſię ſtaje doyną dla ich krową. *Xaral* y jego ſioſtra, ktòrzy do tych czas nie znali bogactw, jak tylko z ſłyſzenia, poznawſzy onych potrzebę, oſądzili za rzecz ſłuſzną, aby utrzymywać w przyjaźni *Fabrycego*, y tyle dla niego mieć poczęli względow, że ſię już za ſzczęśliwego być ſię ſądził. Rozumiał albowiem, iż jego nie gardzili już oſobą, y że roſtrząſnąwſzy dobrze, poznali, jak Szlachta, zwłaſzcza potrzebni, ſzukać mogą pokrewnieńſtw dla nich użytecznych, chociaż z mieſzczanami. W tym tedy mniemaniu, ktòre jego podchlebiało miłości, przedſięwziął proſić o *Hippolitę* za żonę.

Za naypierwſzą ſpoſobnością, ktòra mu ſię podała mòwienia z *Don Tomaſzem*, opowiedział mu, iż ſobie niezmiernie życzył ſzczęścia zoſtania jego ſzwagrem, y że na za-

zawdzięczenie tego, nie tylko złożone u niego chciał darować pieniądze, lecz mu jeszcze dodać obiecał tysiąc pistolow. Pyszny *Xaral* czerwienił się na tę propozycyą, a czując obrażoną swą nadętość, ledwo że nie okazał wszystkiey pogardy, którą miał dla syna wieśniaka. A chociaż dziwnie był urażony propozycyą *Fabrycego*, starał się to pokryć y odpowiedział mu żadnego nie ukazując wstrętu: że w tym momencie, nie może dać rezolucyi, y że się pierwiey z swoją siostrą y z Familią naradzić zechce.

Odesłał tedy tego Amanta z taką odpowiedzią, y zgromadził w rzeczy samey kilku *Hidalgow*. Naradzał się z niemi, lecz nie o tym, czyby siostrę wydać za *Fabrycego*, tylko jakimby kształtem ukarać tego młodego głupca, który mimo niskość swego urodzenia, śmie starać się o Pannę godności takiey, jak jest *Hippolita*.

Jak

Jak tylko to opowiedział zgromadzeniu na Imie *Fabrycego*, oczy wſzyſtkich owych Szlachetnych ludzi zapalczywością pałały, każdy rzucał pioruny przeciw owemu śmiałkowi, y zgodzili ſię wſzyſcy na to: ażeby kiymi był zabity, dla nadgrodzenia obelgi, ktòrą ich uczynił Familii, przez propozycyą tak haniebnego związku. Lecz naradziwſzy ſię dobrze, na tym ſię òw Seym zakończył, aby darowano życie wyſtępnemu, żeby zaś go nauczyć na drugi raz nie zapominania ſwego ſtanu, taką mu mieli wyrządzić ſztukę, ktòrąby długo bardzo pamiętał.

Po wielu tedy opowiedzianych zdaniach, ſtanęło na tym: aby *Hippolita* udawała, iż ſprzyjała *Fabrycemu*, y niby pod pozorem pocieſzenia tego nieſzczęśliwego Amanta, dla tego, iż *Don Tomaſz* wzbraniał ſię go przyjąć za ſwego ſzwagra, naznaczyła mu mieyſce ſekretne w

nocy

nocy do schadzki, tam zaś gdyby na mieyscu *Hippolity*, była murzynka jey sługa, z którą go znalazłszy, przymusiliby do pojęcia za żonę.

Siostra *Xarala* przystała chętnie na to, y rozumiała, iż to o jey chodziło sławę, y że miała racyą być urażoną staraniem się o nią człowieka niższey daleko kondycyi. Lecz ta wyniosłość w krótce zniżona była politowaniem, czyli raczey miłość wtymże momencie objęła nad sercem *Hippolity* swoje panowanie.

Od tego czasu, innym na to patrzała okiem, uważała, iż niskość urodzenia *Fabrycego*, tysiącznemi przymiotami była przyozdobiona, nie postrzegła w nim, jak tylko godnego swego przywiązania kawalera. Zdumieway się *Kleofasie*, mówił *Asmodeusz*: nad mocą tey passyi, która tak gwałtowne odmiany czynić może. Taż sama Panna, która mniemała, iż Xiąże ledwie jaki może ją pojąć, w momencie nakłoniła

się

się do syna jednego rolnika, y cieszyła się tym, iż się o nią starał, miawszy to pierwiey za wielką sobie urazę.

Poddała się swojey passyi, y zamiast, żeby miała dopomagać zamysłom swego brata, utrzymywała sekretną korrespondencyą z *Fabrycym* za pomocą murzynki, y o wszystkim mu donosiła, która także czasem w nocy do niey go wprowadzała. *Hippolita* popadła w podeyrzenie u brata, który chcąc się dokładnie wszystkiego dowiedzieć, skrył się w pewnym mieyscu, z którego mógł, co się działo, doskonale wszystko widzieć. A gdy już własnemi doświadczył oczyma, uwiadomił o tym zaraz swoich krewnych, którzy tą nowiną wzruszeni, wołali o zemstę. *Xaral* im odpowiedział, iż będzie umiał zażyć broni na ocalenie swego honoru. Prosił ich potym, aby się raczyli znaydować u niego tey nocy, któ-

rąby

rąby naznaczył. Uczynili zadosyć jego żądaniu, on zaś ukrył ich w małey jedney izdebce, tak, że tego nikt z domowych nie postrzegł. Powiedział im, że w ten czas do nich powròci, gdy Amant jego siostry w Zamku znaydować się będzie; gdyż mniemał,, iż się tam stawić nie zaniedba: co się y stało. Zły los naszych Amantow zdarzył, że tęż samą noc obrali do widzenia się z sobą.

Już *Fabricio* z swoją kochaną bawił się *Hippolitą*, powtarzali sobie oświadczenia serdeczne, które już nieraz od siebie słyszeli, a te jednak nową dla nich były słodyczą. Gdy znagła uyrzeli wpadających *Don Tomasza* z dwóma swemi krewnemi, mającemi bronie dobyte, którzy wszyscy trzey na *Fabrycego* napadli, ten poznawszy, iż go zabić chciano, mężnie y walecznie im się bronił, tak dalece, iż ich wszystkich trzech raniwszy, szczęśliwie uszedł.

W ten

W ten czas *Xaral* obaczywſzy, iż nieprzyjaciel jego umknął, całą ſwoją zapalczywość na nieſzczęśliwą wywarł *Hippolitę*, ſzpadę jey w ſercu utopiwſzy. Jego zaś krewni, bardzo niekontenci, iż ſię ich zamyſł tak źle udał, powrócili do domu z swemi ranami.

Przeſtańmy na tym, mówił daley *Aſmodeuſz*: a gdy już wſzyſcy przeydą niewolnicy, dokończę ci tę hiſtoryą: opowiadając, jakim ſpoſobem, Sąd dowiedziawſzy ſię o wſzyſtkim, przywłaſzczył jego dobra, on zaś płynąc morzem, doſtał ſię w niewolą *Turecką*.

Pod ten czas gdyś mi to opowiadał, rzekł *Kleofas*: uważałem między temi nieſzczęśliwemi człowieka młodego, który tak ſmutną y płaczliwą miał minę, iż ledwiem twey nie przerwał powieści, abym ſię dowiedział przyczyny jego zmartwienia. Uwiadomię cie zaraz w tym, czego żądaſz, odpowiedział Diabeł: ten

nie-

niewolnik, ktòrego poſtać ciebie wzruſza, jeſt dobrey familji z Miaſta *Walladolid*, był przez lat dwie w niewoli u jednego *Turczyna*, przedziwnie piękną mającego żonę, ta ſię mocno w tym zakochała niewolniku, który nayżywſzym przywiązaniem za jey wypłacał ſię przychylność. Popadł w podeyrzenie u ſwojego Pana, ten bojąc ſię, aby jego niewolnik nie pracował u niego na rozmnożenie *Turkow*, przedał go jak nayprędzey. Ten kochający *Kaſtyllianczyk*, od tego czaſu płacze ſtraty ſwojey Pani, y wolność nawet nie jeſt zdolną pocieſzyć go w jego żalu.

Starzec weſołą mający minę, pociąga mòy na ſiebie wzrok, rzekł *Leandro*: powiedz mi proſzę ktòż on jeſt? jeſt on, odpowiedział Diabeł, *Balwierzem*, urodzony *w Gwiſkopji*, powraca teraz do *Biſkai* po czterdzieſto-letniey niewoli. Gdy był poymany od rozboynikow jadąc z

Walencyi do wyſpy *Sardynji*, zoſtawił w domu żonę, dwòch ſynow, y còrkę, z tych wſzyſtkich nie zoſtał mu, jak ſyn jeden, ktòremu ſzczęście lepiey jak oycu poſłużyło. Powròcił bowiem nie dawno z *Peru* z znacznemi doſtatkami, y kupił ſobie dwie doſyć piękne Wioſki. Co za radość y ukontentowanie, rzekł *Leandro*, będzie dla ſyna! przyimować w domu ſwego oyca! y znaydować ſię w ſpoſobności dopomożenia onemu, do przepędzenia reſzty dni życia jego wſpokoyności y ukontentowaniu?

Mòwiſz, odpowiedział Kulawy, jako dziecie przywiązane do rodzicow y pełne ſentymentow, lecz ſyn *Balwierza* odmiennego jeſt całe zdania. Powròt nieſpodziany oyca więcey mu nieukontentowania, niżeli radości przynieſie, y zamiaſt przyjęcia go do ſwego domu *w Gwiſkopji*, y nieżałowania mu niczego co do wygod jego, dobrze jeſzcze

bę-

będzie, gdy go Dozorcą czyli Włodarzem ſwey Wioſki uczyni.

Za tym więźniem idzie drugi prawie żywy obraz ſtarey małpy. Jeſt to lichy Doktor z *Aragonji*, który gdy piętnaście dni był w niewoli, Turcy dowiedziawſzy ſię jakiey to był człowiek profeſſyi, niechcieli go cierpieć w ſwym ſpołeczeńſtwie, y bez naymnieyſzey zapłaty Oycom Trynitarzom wydali: gdyżby go y oni pewnie nie wykupili: y z wielką teraz nie chęcią do *Hiſzpanji* prowadzą.

Znam cię, mówił daley Diabeł, iż bardzo jeſteś czułym na nieſzczęście drugich, litowałbyś ſię, gdybyś wiedział co ten niewolnik wycierpiał w *Algierze* przez lat dwanaście, u jednego *Biſurmana Anglika*, ſwego Pana; on to jeſt, co ma łyſą głowę ſzarą czapką okrytą. A któż to jeſt ten nieſzczęśliwy niewolnik, ſpytał *Zambullo*? jeſt to jeden Bernardyn z *Nawarry*, odpowiedział

O2 Dla-

Diabeł: przyznam ci ſię, że kontent jeſtem z tego, iż on w takich zoſtawał przykrościach, gdyż przez ſwoje moralne dyſkurſa, więcey niż ſto niewolnikow Chrześciańſkich odwròcił od przyjęcia wiary *Machometańſkiey*.

A ja, odpowiedział *Kleofas*, bardzo nad nim ubolewam, iż tak długo w *Barbarzyńſkich* zoſtawał rękach. Gdybyś znał wſzyſtko, odpowiedział *Aſmodeuſz*, nie powinienbyś nad nim ubolewać, gdyż ten Zakonnik bardzo wiele, przez te lat dwanaście cierpienia w niewoli profitował, y więkſzy dla niego z tąd jeſt zyſk, niżeli, żeby te lata w ſwey celi przepędził przezwyciężaniem pokus, którymby może nie zawſze mógł ſię oprzeć.

Ten niewolnik, który idzie po Bernardynie, rzekł *Leandro*, ma minę dość ſpokoyną, jak na człowieka z więzów powracającego. Ciekawość mię bierze zapytać, coby to

to była za osoba? uprzedzasz mię, odpowiedział Kulawy, właśnie chciałem ci teraz o nim powiadać. Jest to Mieszczanin z *Salamanki* oyciec nieszczęśliwy, człowiek już nieczuły na nieszczęścia dla tego, iż ich aż nadto doznawał. Chęć mię bierze, opowiedzieć ci jego Historyą godną użalenia, a resztę więźniow już pominiemy, gdyż mało jest takich, ktòrych przypadki mogłyby być dla ciebie użytecznemi lub zabawnemi.

Kleofas, który się już był zaczął nudzić widokiem tak wielu smutnych postaci, wyznał, iż mu to wielce miło będzie; a Diabeł zaczął mu opowiadać Historyą w następującym opisaną Rozdziale:

ROZDZIAŁ OSMY.

O ostatniey Historyi, ktòrą Asmodeusz powiadał Kleofasowi: y jak kończąc ją niespodzianie byli przerwani, y z jaką przykrością potym wzajemnie rozstawać się z sobą przychodziło.

Pa-

Pablos de Bahabon, ſyn jednego Akademika Miaſteczka ſtarey *Kaſtylji*, podzieliwſzy ſię z bratem y ſioſtrą miernym majątkiem, ktòry im ociec ich, chociaż jeden z nayſkąpſzych zoſtawił, pojechał do *Salamanki* z przedſięwzięciem uczenia ſię w Akademiach. Był kſztałtny y przyſtoyny, miał doſyć otwarty rozum, y zaczynał w ten czas dwudzieſty drugi Rok wieku ſwego.

Z tyſiącem czerwonych złotych, które dziedziczył, wiele dla ſiebie znalazł przyjacioł. Wſzyſtka młodzież z chęcią ſzukała jego przyjaźni, o nim tylko w Mieście mòwiono, y żadne zabawy bez niego nie były, wſzędzie na nich *Don Pablos* znaydował ſię. Przywłaſzczył był ſobie to nazwiſko *Don*, aby tym poufaley mògł żyć z wſpòł-kollegami, ktòrych ſzlachetność mogłaby uniżać jego urodzenie. Tak zaś lubił uciechy y dobre ſtoły, iż na końcu piętnaſtego Mieſiącą worek jego

go był zewſzyſtkim wyniſzczony. Nie przeſtał jednak żyć rozrzutnie, tak dla kredytu, ktòry miał w Mieście, jako też pożyczając pieniędzy u niektórych oſob. Lecz tym nie mògł długo pociągnąć, wkrótce zoſtał nawet bez ſpoſobu do życia.

W ten czas przyjaciele jego obaczywſzy, iż nie był w ſtanie czynić wydatkow, y różnych im ſporządzać zabaw, porzucili go, a dłużnicy na ich mieyſce zaczęli uczęſzczać, y dużo ſię naprzykrzać. Upewniał ich, iż w krótce miał odebrać wexle, ci zaś tak byli niecierpliwemi, iż go do Sądu pociągać zaczęli, ktòrzy tylko co go do więzienia wſadzić nie kazali. Gdy dnia jednego przechodził ſię nad brzegiem rzeki *Tormy*, ſpotkał pewnego z ſwoich znajomych, ktòry mu rzekł: iż ſługa jeden Mieyſki z żołnierzami czekał na niego dla poymania, jak do Miaſta powróci *Bahabon*. Przeſtraſzony tym donieſieniem

niem zamyślać począł o ucieczce do *Korytyi*, porzuciwſzy gościniec, udał ſię do wielkiego laſu, ktòrego na boku poſtrzegł, wſzedłſzy do niego, umyślił bawić ſię do naſtępuiącey nocy, a potym za pomocą ciemności w dalſzą puścić ſię drogę. Było to właśnie w tę porę Roku, kiedy drzewa naywięcey okryte ſą liściami; wybrał on tedy jedne drzewo z naygęſtſzych, wlazł na nie, y tak gałęziami y liſtem był zaſłoniony, iż go bynaymniey nikt obaczyć nie mògł.

Widząc ſię tedy w beśpiecznym mieyſcu od żołnierzy y więzienia, opłonął z bojaźni; a ponieważ jeſt to rzeczą zwyczayną, iż ludzie w ten czas rozumne czynią uwagi, gdy niedoſkonałości wiele popełnili; on także wyſtawiał ſobie przed oczy, wſzyſtkie ſwoje złe poſtępki, y przyrzekł ſam ſobie, że jeżeli kiedyżkolwiek do mienia przyidzie, roſtropniey y użyteczniey zażyć bę-

będzie umiał. Poprzyſiągł, iż ſię fałſzywym nie da zwieść przyjaciołom, którzy młodego człowieka do marnotrawſtwa y ſwawoli prowadzą, y których przyjaźń znika y ginie wraz z dymkiem od wina. Pod ten czas gdy on takowemi zabawiał ſię myślami, które jedne po drugich naſtępowały, noc nadeſzła; wydobywſzy ſię tedy z gałęzi, chciał ſwoją przedſięwziąć podróż, w tym poſtrzegł z daleka choć przy ſłabym świetle naſtającego mieſiąca figurę człowieka, na ten widok, który pierwſzą bojaźń nazad powrócił, rozumiał, iż to był jeden z żołnierzy Sądowych, co go ſzukać przyſzli. Strach jego tym ſię bardziey pomnożył, gdy obaczył, iż ten człowiek pod tym ſamym uſiadł drzewem, gdzie ſię on znaydował, obſzedłſzy go pierwiey w koło razy kilka.

Diabeł Kulawy przeſtał mówić w tym mieyſcu, y rzekł do *Kleofaſa*:

ſa:

ſa: widzę cię bardzo pomieſzanego, chceſz ſię pewnie dowiedzieć, kto toòw był ten człowiek, co tam nieſpodzianie przyſzedł, y coby mu do tego okazyą było. Opowiem ci zaraz to wſzyſtko, niechcę albowiem twojey długo wytrzymywać cierpliwości.

Człowiek ten uſiadłſzy pod drzewem, ktòrego gęſte liście y gałęzie nie dopuſzczały doyrzeć mu *Don Pabloſa*, odpocząwſzy ſobie tam przez kilka momentow, zaczął kopać ziemię pałaſzem, y wygrzebawſzy dół głęboki, włożył w niego długi ſkurzany worek, zaſypał go, potym ziemią zrównał, darniną przykrył y ſam odſzedł. *Bahabon* z wielką temu wſzyſtkiemu przypatrował ſię pilnością, ſtrach jego y bojaźń w radość ſię zamieniła, czekał tylko oddalenia ſię jak nayodlegleyſzego owego człowieka, co gdy naſtąpiło, zlazł z drzewa, y z wielkim pośpiechem zaczął ów odko-

py-

pywać worek, w którym nie wątpił, iż się złoto znaydować musiało. Noż jego do tey mu pomógł roboty, y z tak wielką usilnością y pośpiechem pracował, iżby był ziemię do swego wygrzebał centrum.

Jak tylko worek miał w swojey mocy, pomacał go dobrze, poznał, że na swoim nie zawiódł się mniemaniu. Uchodził z lasu z spośpiechem z ową zdobyczą, mniey daleko obawiając się ścigania warty, niżeli owego człowieka, do którego te należały pieniądze. W radości, którą ów miał młodzieniec z tak dobrego połowu, szedł noc całą, pewney nawet nie trzymając się drogi, nie czując z tąd naymnieyszey fatygi, lecz na świtaniu zatrzymał się pod drzewami bliskiemi Miasta *Molendo*, nie tak dla wypoczęcia, jako dla uczynienia zadosyć swojey ciekawości obaczenia, coby się w tym worku znaydowało. Otworzył go z jak naywiększą skwapliwo-

wością, znalazł w nim dubeltowe pistole, y dla większey swojey radości naliczył dwieście pięćdziesiąt.

Przypatrzywszy się im tedy z wielkim ukontentowaniem, myślał, coby miał daley począć, a ułożywszy projekt, udał się do *Molendo*, stanął w pewney austeryi, tam najawszy muła, powrócił nazajutrz do *Salamanki*.

Podziwienie, ktòre powrót jego wszystkim sprawiło (gdyż nie wiedzieli dla czego był zniknął) zaspokoił tą odpowiedzą: że potrzebując pieniędzy, a na ustawiczne pisanie nie mogąc onych z domu się doczekać, umyślił sam jechać, przybywszy zaś do *Molendo*, spotkał swego sługę, który z niemi do niego jechał. Tym tedy sposobem oszukał wszystkich, ktòrzy go za człeka bez majątku mieli, dodał jeszcze: iż chce pokazać swoim kredytorom, że niesłusznie z uczciwym tak niedyskretnie postępowali człowiekiem,

kiem, ktòry od dawnego czasu jużby był wypłacił ich należytość, gdyby miał sług pilnieyszych w odwiezieniu jego dochodow.

Nie omieszkał nazajutrz zgromadzić swoich dłużnikow, y co do szeląga im wypłacić. Ciż sami przyjaciele, ktòrzy go byli w niedostatku porzucili, jak tylko dowiedzieli się, iż z pieniędzmi przyjechał, nazad powracać zaczęli, y swemi go omamić chcieli podchlebstwami, rozumiejąc, że znowu dobrych czasow z nim używać będą. Lecz on z nich żartował, wiernie dotrzymując przysięgi w lesie uczynioney. Zerwał z niemi wszelkie obcowanie, y zamiast powrócenia się do dawnego życia, doskonalił się w prawie, y nauka jedyną jego stała się zabawą.

Lecz powiesz mi, rzekł *Asmodeusz*, iż wydawał *dublony*, ktòre do niego nie należały. Przyznaję to, lecz on wiedział, iż trzecia część na świecie ludzi z cudzego żyje dobra,

bra, y że każdy w podobney okazyi równieby jak y on czynił. Myślał jednak powrócić one kiedyżkolwiek za zdarzającą się sposobnością, y dowiedzeniem się do kogoby należały, o czym się potym w rok dowiedział.

Wieść rozeszła się w *Salamance*, iż pewny tameczny obywatel nazwany *Ambroży Piquello*, będąc w lesie dla szukania pieniędzy, które tam był schował, dół tylko próżny został: y że ten przypadek owego biednego człowieka do ostatniey przywiodł mizeryi.

Powiem to na pochwałę *Bahabona*, iż zarzuty wewnętrzne, które mu jego czyniło sumnienie, nie były nie skuteczne, wypytał się gdzie mieszkał *Ambroży*, y poszedłszy do niego bardzo w mizernym znalazł go stanie. Pomieszkanie y odzienie nędzę także pokazywały. Móy przyjacielu, rzekł do niego: dowiedziałem się z publicznego odgłosu,

iż

iż ci ſię ſmutny przytrafił przypadek. Miłość bliźniego nakazuje nam wſpierać jedni drugich zwłaſzcza w potrzebie według możności; przynioſłem ci małe wſparcie, które racz przyjąć. Lecz chciey mi opowiedzieć ſam ſmutny ſwóy traſunek.

Mci Panie kawalerze, odpowiedział *Piquello*, o wſzyſtkim cię w krótkich ſłowach uwiadomię: miałem ſyna, który mię zawſze zkradał, poſtrzegłſzy to, obawiałem ſię, aby mi oſtatniego nie ukradł worka, w którym dwieście pięćdzieſiąt było piſtolow, rozumiałem, iż lepiey nie mogły być ſchowane, jak gdym ich w leſie w ziemi zakopał. W tych czaſach ſyn móy ze wſzyſtkiego mię okradł, y uciekł z pewną kobietą, którą zwiodł był pierwiey. Widząc mię tedy w opłakanym ſtanie, przez zły charakter tego niegodziwego dziecka, albo raczey przez moją głupią dobroć y powolność dla niego, uciekłem ſię do owego oſtatniego

go

go worka, lecz y ten przez nieſzczęście jeſt mi jakoś ukradziony.

Człowiek ów te ſłowa z wielkim kończył żalem, y łzy obſite wylewał, ktòremi *Don Pablos* do żywego był przejętym, y rzekł do niego: móy kochany *Ambroży*, uſpokoy ſię, trzeba cierpliwe wſzyſtkie znieść przypadki, które ſię w tym trafiają życiu: łzy nayobſitſze twoich ci nie przywrócą dublonow, które dla ciebie bezwątpienia już ſą na zawſze ſtracone, jeżli jaki niegodziwy człowiek one wyjął; lecz któż wie? może ſą w rękach jakiey poczciwey oſoby, ktòra może nie zaniedba oddać ci je, gdy ſię dowie, że do ciebie należą.

Zyi tedy w tey nadziei oczekując tak ſprawiedliwego ſwych pieniędzy powròtu, to mówiąc: dał mu dzieſięć dubłonow z tychże ſamych co był z pod drzewa wykopał. Przyimi to, a za ośm dni przyidź do mnie. To uczyniwſzy, powiedział

mu

mu swoje nazwisko y gdzie mieszkał. Wyszedł zawstydzony dziękczynieniem, y błogosławieństwem *Ambrożego*. Takie po większey części bywają uczynki miłosierne, którymby się bez wątpienia nie dziwiono, gdyby prawdziwą oney przyczynę przeniknąć można było.

W ośm dni *Piquello*, który nie zapomniał o tym, co mu *Don Pablos* roskazał, poszedł do niego. *Bahabon* bardzo go dobrze przyjął y rzekł: móy przyjacielu, pochwały y dobre słowa, które tobie dawano, pobudziły mię, abym ci do powstania z biedy dopomógł, chcę na to mego zażyć kredytu y pieniędzy.

Ażebym zaś to czynić zaczął,. byłem u wielu osob bardzo miłosiernych, którym twóy stan opisawszy, zebrałem od nich dwieście talarow dla ciebie, to mówiąc poszedł do swego gabinetu, y wyniosł owe pieniądze w monecie, obawiał się bowiem więcey mu dawać złotem;

ażeby ſię owemu Mieſzczaninowi nie popadł w podeyrzenie. A tym ſpoſobem ſnadniey mógł ſwego dokończyć zamyſłu, y pogodzić dobrą ſławę z ſumnieniem.

Ambroży też z ſwojey ſtrony, dalekim był od porozumienia, aby owe talary były reſtytucyą jego dublonow. Wziął je z wielką radością, podziękowawſzy *Pabloſowi* za ſtaranie, wracał ſię do ſwego mieſzkania, błogosławiąc Niebu, iż mu pozwoliło w owym młodym kawalerze tak dobroczynnego znaleść Opiekuna.

Nazajutrz wyſzedłſzy na miaſto, ſpotkał jednego z ſwoich znajomych, ktòrego intereſſa nie w lepſzym od jego były ſtanie; odjeżdżam, rzekł: ztąd w tych dniach do *Kadix*, zkąd w krótce ma okręt płynąć do nowey *Hiſzpanii*. Nie jeſtem kontent z mojego powodzenia ſię w tym kraju, ſerce mi dyktuje, że ſzczęśliwſzy będę w *Mexyku*. Radziłbym ci, abyś za moim chciał iść przykładem, jeśli

maſz

masz w gotowiźnie choć ze sto talarow.

Mógłbym ich mieć y dwieście, odpowiedział *Piquello*: y chętnie w tębym puścił się podròż, gdybym wiedział, iż tam znaydę sposób do życia. Przyjaciel jego zaczął mu wychwalać żyżność y obfitość tamtego kraju, y tyle mu pokazał sposobow zbogacenia się, iż *Ambroży* dał się na to nakłonić, y tylko o wyborze do *Mexyki* myślił. Niżeli zaś wyjechał z *Salamanki*, pisał list do *Bahabona*, w ktòrym mu donosił, iż znalazłszy sposobność jechania do *Indow*, niechciał jey omieszkać dla sprobowania, jeśliby tam fortuna nie była mu użytecznieyszą, niżli w własnym kraju. Odważył się zaś mu to donieść dla upewnienia go, iż dobroci jego y świadczenia do śmierci w pamięci mu tkwić będą.

Odjazd *Ambrożego* zasmucił nieco *Don Pablosa*, ktòry widział przez to niesposobność wypłacania się po tro-

chu z należących Mieszczaninowi pieniędzy. Lecz wystawiał sobie, iż choć za lat kilka powróci znowu do *Salamanki*, aby był przeto w stanie do zebrania y oddania owych pieniędzy, z wielką uczył się pilnością, y tak się wydoskonalił w Prawie Duchownym y świeckim, iż go za naybiegleyszego w całey miano Akademii, która go za swego obrała Rektora.

Pod czas swego Urzędu dowiedział się, iż w więzieniu *Salamantskim* znaydował się młody jakiś człowiek, który za uwiezienie jedney Damy, y wiele innych występkow do Sądu był oddany: a przeto zostawał w niebespieczeństwie utraty życia. Przypomniał sobie zaraz syna *Piquellego*, o którym samże oyciec mu opowiedział, a dowiedziawszy się dokładnie, iż to w rzeczy samey był syn *Ambrożego*, przedsięwziął jego obronę. Ponieważ tedy w prawach jest zawsze obojętność, z której łatwo można

żna

żna nadciągnąć obwinienie y obronę według swey myśli y chcenia, *Pablos* zaś doskonale był w nich biegłym, to zrobił, iż za pomocą swych przyjaciół, (co mu naywięcey dopomogło) okazał niewinnym syna *Ambrożego*.

Winowayca wyszedł z więzienia bielszy od śniegu, pobiegł zaraz dziękować swemu wybawicielowi, ktory mu rzekł: dla przyjaźni to twego oyca uczyniłem, którego wielce szacuję, y ażebym ci dał nowy dowod mego do niego przywiązania; jeżeli chcesz w tym tu zostać Mieście, y prowadzić życie jak na uczciwego przystało człowieka, będę miał staranie o twojey fortunie. Jeżeli zaś chcesz iść za przykładem *Ambrożego* y popłynąć do *Indow*, dam ci na drogę piędziesiąt pistolów.

Panie, odpowiedział mu młody *Piquello*: ponieważ mi swoją oświadczasz łaskę y pomoc, zlebym bardzo czynił, gdybym się oddalić miał od

tego

tego mieyſca, które dla mnie rozumiem być pożyteczne; nie wyjadę z *Salamanki*, y przyrzekam ci, iż tak ſię ſprawować będę, że ſam z tego ukontentowanym będzieſz. Na te przyrzeczenie, dał mu Rektor dwadzieścia piſtolów, mówiąc do niego: weź to móy przyjacielu, chwyć ſię jakiey uczciwey profeſſyi, a bądź pewny, iż o tobie nigdy nie zapomnę.

We dwa mieſiące po tym trafiło ſię, iż młody *Piquello*, który częſto do *Don Pablos* przychodził, przybiegł cały we łzach: cóż ci to jeſt, zawołał *Bohabon?* Panie, odpowiedział mu zmartwiony ſyn *Ambrożego*, nowina, która uſzu moich doſzła, zakrwawia y rozdziera moje ſerce! dowiedziałem ſię albowiem, iż oyciec móy wzięty jeſt w niewolą od zbóycow *Algierſkich*, y że jęczy teraz obciążony kaydanami. Starzec pewny z *Salamanki*, który teraz powraca z *Algieru*, gdzie przez lat dzieſięć był w niewoli, y którego nieda-

wno

wno Zakonnicy wykupili, o tym mi doniosł. Przebóg! dodał, tłukąc się w piersi, y wydzieraiąc sobie włosy z głowy! nayniesczęśliwszym iestem z ludzi, przez moią to rospustę, oyciec do tak mizernego przyszedł stanu! dla mnie to stał się tułaczem y wygnańcem z Oyczyzny, jam go to w *Barbarzyńskie* wydał ręce, y kaydanami obciążył! ach P. *Don Pablosie!* czemużeś mię z rąk sprawiedliwości uwolnił! jeśli kochasz mego oyca, trzeba mię było wydać na śmierć, mszcząc się za niego, gdyż wszystkich nieszczęśliwości oycowskich byłem przyczyną.

Na te słowa Rektor do żywego był przejęty, tak nieszczęściem *Ambrożego*, jako też żalem młodego *Piquella*; moje dziecie, rzekł do niego: patrzę na to z wielkim ukontentowaniem, iż tak szczerze swych przeszłych żałujesz niedoskonałości, lecz otrzyi łzy twoie, dosyć na tym, iż ja wiem o tym, jego uwolnienie od

wy-

wykupna tylko zależy, o co się ja postaram. Chociażby naywiększe wycierpiał przykrości, pewny jednak jestem, iż za swym powrótem, znalazłszy w tobie syna poprawionego y pełnego przywiązania, na zły swòy los narzekać przestanie.

Don Pablos przez tę obietnicę pocieszył syna *Ambrożego*, w kilka dni pojechał do *Madrytu*, y oddał Zakonnikom więźnie wykupującym worek ze sto pistolami, na którym napisane te były słowa: *ta summa dana jest Oycom Zakonnikom na wykupienie pewnego ubogiego mieszczanina z Salamanki niewolnika w Algierze, nazwanego Ambroży Piquello*. Ci dobrzy Zakonnicy nie omieszkali w tey podróży, z którey dopiero powracają z *Algieru*, uczynić zadosyć żądaniom Rektora, wykupili *Ambrożego*, otoż tenże sam jest niewolnik, ktòregoś się ty spokoyności dziwował.

Lecz zdaje mi się, odezwał się *Kleofas*: iż *Pablos* owemu mieszczani-

nowi

nowi ze wszystkim się wypłacił. Nie tak myślił *Pablos*, jak ty, odpowiedział *Asmodeusz*: on nie tylko powracał kapitał, ale y prowizyą; delikatność jego sumnienia, czyni mu nawet zarzuty, iż się swojey substancyi, wziętemi dorobił pieniędzmi, od tego czasu jak Rektorem został, y gdy się *Piquello* powróci, przedsięwziął rezolucyą wszystko onemu opowiedzieć, w te słowa: mòy kochany *Ambroży*, nie miey mię więcey za swego dobrodzieja, tylko jak za tego, który ci twoje schowane wykradł pieniądze, ponieważ niemi mego dorobiłem się majątku, a więc wszystko do ciebie należy, bierz sobie co chcesz, a ja tym się kontentować będę, co mi zostaje.... W tym mieyscu Diabeł Kulawy zamilkł, y zaczął drżeć mocno, y mienić się na twarzy.

Cóż to ja widzę? zawołał *Zambullo*: co za nadzwyczayne poruszenie ciebie przeraża? y słowa ci urywa;

ach

ach *Kleofasie!* zawołał Diabeł głosem drżącym: co za nieszczęście dla mnie! Czarnoxiężnik, u ktòrego byłem zamknięty w butelce, postrzegł, iż mię tam nie było. Wzywa mię teraz przez tak mocne zaklinania, że im się nakoniec oprzeć nie będę mògł. Jakże mię to martwi, zawołał przejęty żalem *Kleofas!* coż za stratę poniosę! przebóg, y myże to mamy się na zawsze rozłączyć! ja się jeszcze tego nie lękam, odpowiedział *Asmodeusz*: Czarnoxiężnik może mię do jakiey potrzebuje roboty, gdybym był tak szczęśliwym w czym mu się przysłużyć! może, że przez wdzięczność darowałby mię wolnością, jeżeli się to stanie, czego się spodziewam, obaczę się znowu z tobą, lecz pod tą kondycyą, abyś tego, co się między nami tey nocy działo, nikomu nie powiadał. Gdyż jeżeli to rozgłosisz, zawczasu ci powiadam, że mię nigdy nie obaczysz.

To mię tylko cieszy, rozłączając

się

ſię z tobą, iż już twoją ci zrobiłem fortunę Poymieſz za żonę piękną *Serafinę*, ktòra ſię w tobie ślepo kocha, a *Don Pedro Eſkolano* Oyciec jey, wziął przed ſię rezolucyą wkrótce ją za ciebie wydać. Nie opuſzczayże tak pięknego y pożytecznego dla ciebie zkoligacenia ſię. Lecz nieſzczęście moje, dodał: ſłyſzę Czarnoxiężnika, ktòry mię zaklina, całe piekło drży na ſłowa od tego ſtraſznego *Kabaliſty* wymówione. Już nie mogę dłużey z tobą zoſtać, byway zdròw kochany *Zambullonie*. Kończąc te ſłowa, obłapił *Don Kleofasa*, a przenioſłſzy go do jego mieſzkania, ſam zniknął.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY Y OSTATNI.

O tym, co uczynił Kleofas po rozłączeniu ſię z Diablem Kulawym, y jakim ſposobem Autor tego dzieła chciał one zakończyć.

W moment po zniknieniu *Aſmodeuſza*,

deuſza, *Kleofas* czując ſię być znużonym bezſennością nocy ſtrawioney, rozebrał ſię czym prędzey y udał ſię do ſpoczynku. W zamęcie, w ktorym ſię rozum jego znaydował, długo nie mógł zaſnąć. Lecz zapłaciwſzy powinny hołd *Morfeuſzowi*, który mu od wſzyſtkich ludzi śmiertelnych należy, tak był głęboakim ſnem uſpiony, iż bez obudzenia ſię noc y dzień cały przeſpał.

Dwónaſta już była godzina na dzień, gdy *Don Luis de Lujan* młody kawaler jeden z jego przyjaciół wſzedł do pokoju, wołając z całey mocy: Panie *Don Kleofaſie* wſtaway; na ten hałas *Zambullo* ſię obudził, y zapytał, czegoby chciał? czy wieſz o tym, odpowiedział *Don Luis*: iż od wczorayſzego śpiſz rana; to być nie może, odpowiedział *Leandro*: upewniam cię, rzekł jego przyjaciel, wſzyſtkie oſoby w tym mieſzkające domu, o tym mi powiadały.

Kleofas zdziwiony tak ſnem długim,

gim, lękać się zaczął, aby awantura jego z Diabłem Kulawym, nie była jednym snem, lub marą zmyśloną. Lecz przypominając sobie niektòre okoliczności, nie mógł o tym więcey wątpić, jak tylo, że była prawdziwą. Z tym wszystkim, aby się w tym upewnił, wstał y z pośpiechem ubrawszy się, wyszedł z *Don Luisem*, którego prosto ku bramie słońca prowadził. Gdy tam już przybyli, y gdy *Don Kleofas* postrzegł dom *Don Pedra Eskolana* w popiół obrócony, zmyśliwszy zadziwienie, rzekł: cóż to ja widzę? o jakąż tu ogień uczynił ruinę? do kogoż ten dom należy, y jak dawno się spalił?

Don Luis de Lujan o wszystkim go uwiadomił, dodając: iż ten pożar mniey jeszcze czyni odgłosu w mieście, dla znaczney szkody, jako dla osobliwszego przypadku, o którym ci opowiem, *Don Pedro Eskolano* ma jedynaczkę còrkę, powiadają, iż w ten czas kiedy ten dom gorzał, Da-

ma

ma ta znaydowała się w jednym pokoju tegoż domu, który dymem y płomieniem był napełniony, y że bez wątpienia od ognia byłaby spaloną, gdyby nie odwaga jednego kawalera młodego, (o którego jeszcze niewiem imieniu) ztamtąd go ratowała. Y to teraz powszechną jest w *Madrycie* gadką. Wynoszą aż pod obloki śmiałość owego kawalera, y rozumieją wszyscy, iż w nadgrodę tak odważney czynności, chociaż niebogatym jest Szlachcicem, może otrzyma w małżeństwo córkę tego Pana.

Leandro słuchał *Don Luisa*, nie pokazując po sobie, że ta rzecz jego się tyka. Potym oddaliwszy się niby z jakiey przyczyny od niego, udał się ku *Prado*, gdzie usiadłszy pod drzewami, w głębokich zanurzył się myślach. Diabeł Kulawy, zaraz mu na pamięć przyszedł; nie mogę, rzekł sam w sobie: dosyć mego kochanego odżałować *Asmodeusza*, wkrótceby

ze

że mną świat cały obiegł, y odprawiłbym podróż tak dla mnie pożyteczną, nie doznawſzy przykrości drogi. W rzeczy ſamey, wielką poniosłem ſtratę! lecz dodał potym, może, że kiedykolwiek będzie dla mnie nadgrodzoną; dla czegoż roſpaczam względem obaczenia tego Czarta? może to być, że znowu do mnie powròci, jako ſam przyobiecał; a wątpić o tym nie mogę, iżby mu Czarnoxiężnik wolności przywrócić nie miał.

Myślić potym począł o *Don Pedrze* y jego còrce, wziął przed ſię rezolucyą iść do nich: naywięcey z ciekawości widzenia piękney *Serafiny*. Gdy ſię tylko tam pokazał, Pan ów biegł do niego z otwartemi rękami, a ściſkając go, rzekł: witay wſpaniały kawalerże; jużem zaczął był na ciebie ſię uſkarżać, mòwiłem ſam z ſobą: y jakże to, *Don Kleofas* po tylu moich proźbach, kròrem uczynił, aby mię raczył nawiedzić, tak nie czule przyi-

przyimuje niecierpliwość moją, ktòrą mam w okazaniu mu mego ſzacunku y przyjaźni.

Zambullo, niſki na tak przyjemne wyrzucanie uczynił ukłon, y rzekł do ſtarca, wymawiając ſię: iż nie chciał mu ſię naprzykrzać, widząc go w zatrudnieniu z okazyi pożaru. Bynaymniey to cię przedemną nie uſprawiedliwia, odpowiedział *Don Pedro:* nie mògłbyś żadnego uczynić zatrudnienia w tym domu, w ktòrym bez twojey pomocy, nay większy panowałby ſmutek; lecz dodał: idź za mną, inſze jeſzcze odbierzeſz dziękczynienie: to mówiąc, wziął go za rękę, y zaprowadził do pokoju *Serafiny*.

Moja Còrko, rzekł wchodząc Oyciec: otoż maſz tego kawalera, ktòren cię tak odważnie od śmierci wyratował, okaż mu za to powinne dziękczynienie, ponieważ ſtan, w ktòrym ſię zawczoray znaydowała, tego ci nie dozwalał uczynić. W ten

czas

czas *Serafina* różowe ſwoje otworzywſzy uſta, obróciła ſwą mowę do *Leandra Peres*, y taki mu powiedziała komplement, któremby ſię bez wątpienia wſzyſtkim moim czytelnikom podobał, gdybym go mógł tu ſłowo w ſłowo opiſać, ale ponieważ doſkonale o nim nie pamiętam, wolę go tedy zamilczeć, aniżeli niedokładnie y nikſztałtnie go wyrazić.

To tylko powiem, iż *Don Kleofas* mniemał, że Bóſtwo jakie mówiące ſłyſzał y widział; y uſzy y oczy jego prawie w zachwyceniu zoſtawały, w ſercu zaś gwałtowna podniosła ſię miłość. Lecz dalekim był od tego, aby poglądał na *Serafinę*, jako na oſobę dla niego przeznaczoną, wątpił jednak, mimo tego wſzyſtkiego, co mu Diabeł opowiedział, aby tak wielką ceną chciano nadgrodzić przyſługę, którą mniemano, że od niego była uczyniona. Im więcey w córce *Don Pedra* upatrywał piękności, wdzięków, y przymiotow, tym

mniey ſobie podchlebiał w odziedziczeniu oney.

To zaś naybardziey w mniemaniu jego utwierdziło, że *Don Pedro* w całey ſwey rozmowie, nic takiego nie namienił, coby go upewniać mogło o owym zkolligaceniu ſię; bo nic więcey nie ſłyſzał, jak powtórzenie ſamych tylko dziękczynień y wdzięczności. *Serafina* też z ſwojey ſtrony, tyleż będąc grzeczną, ile y Oyciec, pełne uniżoności za wybawienie od śmierci powtarzała ſłowa, bez naymnieyſzego jednak wyrazu, ktòrenby mógł uczynić nadzieję *Zambullonowi*, iżby ſię w nim kochała. Tak tedy wyſzedł od *Eſkolana* z wielką miłością, a nader małym ſpodziewaniem.

Aſmodeuſzu mòy przyjacielu, rzekł ſam do ſiebie powracający do domu: kiedyś mnie upewniał, że *Don Pedro* umyślił mię ſwoim uczynić zięciem, y że *Serafina* żywym ku mnie pałała przywiązaniem, chciałeś podobno

mojey

mojey probować łatwowierności y ze mnie zażartować, albo muſiſz wyznać, iż nie lepiey wieſz o rzeczach teraźnieyſzych, jako y przyſzłych.

Zambullo gniewał ſię ſam na ſiebie, iż odwiedził ową Damę, y poglądał na ſwoją paſſyą, którą czuł do niey, jako na nieſzczęśliwą miłość zwyciężenia wyciągającą. Przedſięwziął tedy nic nie zaniedbać. Wyrzucał ſobie nawet chęć zbyteczną doyścia do zamierzonego celu, rozważając: że gdyby nawet oyciec był nakłonionym do dania mu ſwojey córki, wſtydziłby ſię być winien ſzczęście ſwoje kłamſtwu y zmyślaniu.

Gdy w tych jeſzcze znaydował ſię myślach, *Don Pedro* przyſłał go proſząc do ſiebie, y rzekł mu: P. *Leandro Peres*, czas jeſt, ażebym czynnością a nieobietnicą moją ci oświadczył wdzięczność, y pokazał to, iż czyniąc mi wielką przyſługę nie uczyniłeś jednemu z dwor-

ſkich takowych ludzi, któryby cię po dworſku grzecznemi tylko zbył komplementami, chcę, ażeby ſama *Serafina* nadgrodą była niebeſpieczeńſtwa, w ktòreś ſię dla niey podał. Przekładałem jey to, y widziałem, że bez wſtrętu mojey być obiecała poſłuſzną woli. Powiem ci więcey jeſzcze: iż właſną moją w niey krew uznałem, gdym za małżonka wyznaczał jey wybawiciela; tyle okazała radości, iż widziałem, że wſpaniałość jey ròwna mojey była. Rzeczą tedy już jeſt ułożoną, y ty dziś poymieſz za żonę moją còrkę.

Gdy to wyrzekł Pan *Eſkolano*, ſpodziewał ſię, iż *Don Kleofas* wielkie mu uczyni podziękowania za taką dla ſiebie oświadczoną łaſkę. Lecz zdziwił ſię bardzo, gdy go obaczył ſtrwożonego y milczącego: cóż to jeſt *Zambullonie*, rzekł? y còż to ja mam rozumieć o twoim pomieſzaniu? w ktòre cię moje

wpra-

wprawiło oświadczenie, y czyliż Szlachcic ma pogardzać tym zkolligaceniem, ktòreby sobie y Pan miał za ukontentowanie? Szlachetność mego Domu, jestże czym skażoną? powiedz proszę, zkądże pochodzi twoje milczenie y pomieszanie?

Panie, odpowiedział *Leandro*: znam aż nadto ròżnicę, którą Niebo między nami uczyniło. Y dla czegoż, przerwał *Don Pedro*? zdajesz się tak mało być ukontentowanym z ożenienia, ktòreby ci tyle mogło przynieść honoru? przyznay mi się *Kleofasie*, może, że inną jaką kochasz Damę? ktòrey już swoje dałeś słowo; a interess jey w tym momencie twojey się opiera fortunie. Gdybym miał jaką kochankę, odpowiedział *Zambullo*: któreybym się przysięgą y słowem obowiązał, nicby mię w rzeczy samey przywieść nie mogło do niedotrzymania oney: lecz nie ta jest

przy-

przyczyna, która mi zabrania z twojey użytkować dobroci. Sentyment delikatności, wyciąga po mnie, abym odstąpił tak wysokiego postanowienia, którym mię chcesz uszczęśliwić. Y daleki jestem od tego, abym miał z twojey profitować niewiadomości; chcę cię z niey wyprowadzić, oznaymując: iż ja nie jestem wybawicielem *Serafiny*.

Cóż to ja słyszę? zawołał zdziwiony starzec! y nie tyżeś to jest, któryś wyrwał z płomieni mą còrkę? mających ją pochłonąć? y nie tyżeś to, ktòryś tak odważny uczynił postępek? nie Panie, odpowiedział *Zambullo:* każdy człowiek śmiertelny, daremnieby się pewnie o to kusił; wiedz tedy, iż to był Diabeł, co twoją z ognia wyrwał còrkę.

Słowa te powiększyły zadziwienia *Don Pedra*, któren nie mogąc tego zrozumieć, prosił *Kleofasa*, aby się jaśniey chciał wytłumaczyć. W ten czas *Leandro* zapomniawszy

za-

zakazu *Aſmodeuſza*, opowiedział wſzyſtko, co ſię między nim y owym duchem działo. Co gdy ſkończył ſtarzec, rzekł do niego: ſzczerość y otwartość, z którąś ſię przedemną otworzył, potwierdza chęć oddania ci moiey córki za żonę, gdyż ty pierwſzym jeſteś jey wybawicielem; bo gdybyś był nie proſił Diabła Kulawego o wybawienie jey od tak bliſkiey śmierci, zapewnie byłaby zginęła, a onby bez ciebie o jey nie myślał ratunku. Tyś tedy zachował życie *Seraſiny*, słowem zaſłużyłeś ją ſobie, a ja ci jeſzcze dziś ją z połową dobr moich oddaję.

Leandro Perez na te słowa, które wſzyſtkie jego odjęły ſkrupuły, rzucił ſię do nóg *Don Pedra*, dla podziękowania mu za tak wielką łaſkę. Wkrótce po tym ożenienie to z wielką odprawiło ſią wſpaniałością, przyzwoitą Dziedzicowi Pana *Eſkolano*, z wielkim zaś ukonteno-

tentowaniem Rodzicòw *Kleofasa*, którym się to dobrze nadgrodziło, iż syn ich strawił godzin kilka na danie wolności Diabłu Kulawemu y na zabranie z nim znajomości.

KONIEC DIABŁA

KULAWEGO.

RO-

ROZMOWY
Poważne y Zabawne
KOMINOW MADRYCKICH.

ROZMOWA I.

KOMIN A. z KOMINEM B.

KOMIN A.

Już po wſzyſtkim; zginąłem móy kochany ſąſiedzie! Bożek *Larys* nawet lodowacieje przy mnie, a ja już czuję zimno przenikające mię od nóg aż do głowy.

KOMIN B.

Trwożyſz mię; zkądże pochodzi ta przykra choroba? jakże ſię to ſtało, że twoja gorącość w zimno ſię obróciła? zawſzem cię widział ogniem pałającego.

KOMIN A.

Przebóg! przymuſzony jeſtem iść za dobrą lub złą fortuną mego uczonego, ale ubogiego Pana.

KO-

KOMIN B.

Y cóż mu ſię to przytrafiło?

KOMIN A.

Jedne z naywiękſzych nieſzczęść. Jego dochody, czyli raczey ręki y piòra, gdyż innych nad te nie miał, ſą zatrzymane.

KOMIN B.

Jeſzcze cię rozumieć nie mogę.

KOMIN A.

Poſłuchayże mię tedy; mówię ci o Autorze; dochody jego ſłyną z niektòrych *Romanſow* zabawnych od niego ułożonych, a teraz rodzay onych jeſt mu przepiſany.

KOMIN B.

Y jakże? to on tylko z piſania Romanſòw żył?

KOMIN A.

Y bardzo wygodnie, gdyż nie tracił wiele czaſu na ułożeniu jednego Tomu, ale ich ſiedm lub ośm na rok wydawał.

KOMIN B.

Wielka ſzkoda, że związano ręce tak wielkiemu pracownikowi. Jak

to

to można zabraniać zabaw, które ſą jedne z naylepſzych w świecie. Powſzechność lubi być bawioną, więc powinna mieć wolność kupowania tego, co ſię jey podoba.

KOMIN A.

To wielka prawda, a guſt ten powſzechności jeſt intereſſem Autorów, a zyſkiem Xięgarzów. Lecz czegoż zayzdrość nie może? krzyczą, że ſię teraz wſzyſcy czytaniem głupſtw bawią, y nazywają wiek ten, wiekiem *Romanſów* y trzpiotactwa; mówią, iż guſt dobry cale ſię zepſuł, że Autorowie przedłużają bardzo *Romanſe*, y że wkrótce jeden Autor wyda trzyſta ſześćdzieſiąt pięć Tomów na każdy dzień roku.

KOMIN B.

Po tyſiąc jedney nocy, tyſiąc y jednym dniu, y jednym kwadranſie, y tak wiele tyſiącznych innych rzeczy *Romans* w trzyſtu ſześćdzieſiąt y pięć Tomach, nie powi-

winienby nikogo zadziwiać, ani wzburzać umysły.

KOMIN A.

Zważże tedy, jeżeli słusznie mego prześladują Autora, który nigdy swego dzieła nad ośm Tomów nie przedłużył.

KOMIN B.

Ubolewam nad tobą mòy kochany przyjacielu, y nad wszystkiemi kominami Autorów y Xięgarzów, które może tak, jako y ty zlodowacieją.

KOMIN A.

Słaba to jest pociecha dla nieszczęśliwych, znaydować tylko politowanie w swych dolęgliwościach.

KOMIN B.

Wart jesteś użalenia, y dla tego nad tobą się lituję: y cóż mam więcey dla ciebie czynić? a do tego mówię ci otwarcie, iż od dawnego słyszałem czasu, że mają przekształcić gust wieku teraznieyszego do bagatel, y zapobiedz szerzeniu się *Romansow*.

KOMIN A.

Cóż

Cóż to ja ſłyſzę?

KOMIN B.

Tak jeſt, ludzie rozumni y uczeni, mówią teraz bez parcialności, że te przekſztalcenie bardzo będzie użyteczne, y że Autorowie albo niech piſzą rzeczy potrzebne y pożyteczne, albo wcale niech nie piſzą. O toż to jeſt ich oſądzenie, które cały świat pochwalił y potwierdził.

KOMIN A.

Czyż to, co ſię podoba, nie jeſt rzeczą użyteczną?

KOMIN B.

Prawda, lecz prócz użyteczności zabawy chcą, ażeby ſię znaydowały w Xiążkach poprawy obyczajów, y rzeczy poważne. Naprzykład Diabeł Kulawy jeſt *Romans*, ale więcey waży nad traktat jaki moralny. Otoż to jeſt *Romans* poważny y pożyteczny; niech twóy Autor takowe piſze, a bez wątpienia pozwolą mu je drukować. Niech ich jednak z tym wſzyſtkim

do

do òśmiu Tomów nie przeciąga, gdyż znaſz ſam, że to jeſt okradać powſzechność, a bogacić Xięgarzòw.

KOMIN A.

Skończmy naſzą rozmowę Widzę dobrze, że jeſteś Kominem Dozorcy Dzierżaw Krolewſkich, jeſteś nieroſtropnym y nierozeznanym w *Literaturze*. A twóy ſzczupły duch, nie umie więcey nad rachunki. Dziwnie tego żałuję, żem ci moje powierzył dolęgliwości.

KOMIN B.

Ty mòwiſz do mnie uſzczypliwie, a ja jeſzcze nad twoim ubolewam nieſzczęściem.

KOMIN A.

Czy takież to jeſt ubolewanie? że chwaliſz tych, którzy ſą ſmutku mego przyczyną. Idź ſobie mówię jeſzcze raz, tyle jeſteś nierozumnym, ile ten, do którego należyſz.

KOMIN B.

Zamiaſt, cobyś miał zlodowacieć,

cieć, dym ci bardzo do głowy wstępuje, przestań proszę mòwić o moim Dozorcy, billet jeden jego ręki więcey waży, niż wszystkie Tomy *Parnassòw*. To wszystko, co on pisze, jest rzeczą poważną y w guście powszechnym póty, pòki jego charaktery będą miały walor, nigdy się zimna nie obawiam. A ogień mòy z większą pilnością będzie utrzymywany, niżeli Bogini *Westy*. Twóy zaś ubogi Autor będzie się miał za szczęśliwego, gdy się przy nim grzać domieści. Co zaś względem ciebie, mimo obegl, ktòremi mię nakarmiasz, życzę ci dla rozgrzania, Dozorcy takiego, jakim jest móy.

ROZMOWA II.

KOMIN C. z KOMINEM D.

KOMIN C.

Co za cud? co za zdarzenie? mòy przyjacielu kochany, czy wiesz co mi się przytrafiło.

KOMIN D.

Czy

Czy od dawnegoż to czasu?

KOMIN C.

Od godziny tylko.

KOMIN D.

Niewiem o niczym mòy przyjacielu, gdyż byłem przytomny zamężciu, które się pod mym odprawilo dachem.

KOMIN C.

Zamężcie?

KOMIN D.

Tak jest, y jedne z nayosobliwszych. *Lizander y Klimena* wzięli mię za świadka swych przysiąg, żaden zaś z śmiertelnych nie był przytomny tey ceremonij, prócz *Lizetki* wierney sługi *Klimeny*: kosztują teraz słodyczy tego sekretnego zjednoczenia.

KOMIN C.

To wcale poważne zamężcie.

KOMIN D.

Wiem ja o tym, że do niego niektòrych małych jeszcze brakuje rzeczy, lecz miłość to nadgradza, jestem pewny, że mimo wolę y

wiado-

wiadomość swych Rodzicòw, zawsze się kochać będą. Czyż można to w naydokładnieyszych znaleść małżeństwach?

KOMIN C.

Nie, w rzeczy samey Małżeństwa są to kontrakty polityczne, które łączą czasem dwie osoby nie kochające się, y które się całe życie nienawidzieć będą.

KOMIN D.

A ja cię tedy upewniam, że węzeł, który jednoczy *Lizandra* z *Klimeną*, jest daleko czci godnieyszy, gdyż jest łańcuhem szczerey miłości.

KOMIN C.

Mam ci wdzięczność mòy kochany przyjacielu, że cię szczęście Amantòw interessuje, myśmy to im powinni, jako ich konfidenci. Ja wszystko dla nich gotòw jestem uczynić. Posłuchay, co mi się przytrafiło. Awantura moja dosyć do twojey jest podobna. Wiesz, iż

pokóy, do którego ja należę, prawdziwą jest celą.

KOMIN D.

Czy nie jestże on pomieszkaniem tey piękney osobki *Julji*?

KOMIN C.

Tak jest, *Julia* była kochaną od jednego młodego Officyera bardzo udatnego, nazwanego *Trazon*, a *Trazon* też nie kochał niewdzięcznie.

KOMIN D.

Ja wcale o tym niewiedziałem.

KOMIN C.

Nic wcale do ich szczęścia nie brakowało, jak tylko sposobność bycia szczęśliwemi, lecz matka *Julji* więcey oczow miała, niżeli *Argus* y pokóy tey nieszczęśliwey Panny, był więcey niedobyty od wieży *Danais*.

KOMIN. D.

Jakże ty jesteś uczonym, y doskonale widzę umiesz historyą Bogów bajeczną; rozumiem, iż nim *Julią* miałeś w swym pokoju, musiał w nim jakiś przemieszkiwać Póëta.

Lecz

Lecz wieża *Danais*, ponieważ tu ją wſpominaſz, nie ſtałaſięż niedobytą od deſzczu złotego?

KOMIN C.

To prawda, lecz wieſz dobrze, że *Danais* miała za Amanta Bożka, y Bożka takiego; ktòry mógł deſzcz y kamienie w złoto zamienić; zamiaſt, że *Trazonowi* po trzech odprawionych kampaniach dobra zoſtała ſława. Nie mógł tedy nieborak do deſzczu złotego udać ſię.

KOMIN D.

Y jakiż tedy innny ſpoſób przedſięwziął?

KOMIN C.

Jeden z nayproſtſzych. *Trazon* bardzo bliſko z tąd mieſzka, bez żadnego innego czarodzieyſtwa, jak tylko miłości, wlazł na dach, y ſpuścił ſię przezemnie aż do pokoju *Julji*.

KOMIN D.

Czyż ona ſię go ſpodziewała?

KOMIN C.

 Nie,

Nie, lecz tego życzyła ſobie tylko, y zamiaſt przyjęcia ſwego kochanka, widząc go ſpuſzczającego ſię przezemnie: ſtraſzliwie ſię przelękła.

KOMIN D.

Założyłbym ſię, iż muſiała zemdleć.

KOMIN C.

W takich okolicznościach nie mdleją, proſzę ſobie nie żartować. Piękny Kominiarz rzucił ſię do nóg *Julji*, y wkrótce uznany był za *Trazona*. Nigdy nie można było tak tkliwego widzieć ułożenia; otoż to zyſk naſz, ktòren my kominy nad ludzi mamy, iż jeſteśmy często świadkami tyſiącznych ſekretnych rzeczy, któreby ludzie ſobie życzyli wiedzieć, choćby naydrożey opłacać mieli. Bojaźń *Julji* już teraz zniknęła, a ſerce jey jeſt poruſzone daleko inſzemi ſentymentami.

KOMIN D.

O toż móy ſąſiedzie widziſz jedney nocy dwa bardzo podobne małżeńſtwa.

KOMIN C.

Praw-

Prawda, z tym wſzyſtkim moi kochankowie, nietylko świątobliwą ſobie wykonali przyſięgę, lecz okoliczności przymuſzą matkę *Julji* do przyjęcia *Trazona* za zięcia. A ja ſię zawczaſu cieſzę z ſmutku tey oſtrey matki.

KOMIN D.

A ja zaś z ukontentowania, którego zażywa jey córka.

ROZMOWA III.

KOMIN E. z KOMINEM F.

KOMIN E.

Powiedz mi, jeśli łaſka, co czyniſz, abyś ſię nie nudził z twemi ſtaremi Pannami, od rana do nocy, one tylko przy twoim ſiedzą ogniu, codziennie jedne tylko widziſz twarzy, jedne ſłyſzyſz mowy, założyłbym ſię, iż ſię ci to już naprzykrzyło.

KOMIN F.

Przyznam ci ſię, iż życzyłbym ſobie pozbyć ſię ich, lecz ſzkodowałbym może na tym, iż ogień móy nie tak dobrze przez kogo inſzego byłby utrzymany. Są to Dewotki, a przeto nie mniey ſtarania mają o ciele, jako y o duſzy. Oſobliwie, gdy niektóre

oſoby

osoby nawiedzać ich przychodzą. Nic w ten czas nie oszczędzają, y kuchnia ich staje się na ten czas zbytkową, a dym, który przezemnie wychodzi, prawdziwym jest perfumem.

KOMIN E.

Jak widzę ty lubisz dymy, każdy jak widzę, ma swóy gust, ja zaś lubię odmiany, nowe twarze, y awantury dziwnie mi się podobają, y jedyną są moją zabawą. Wszak wiesz, iż jestem kominem pokoju meblowego.

KOMIN F.

To ty, jak widzę, cale jesteś zrobionym do nowości?

KOMIN E.

To prawda, y mocnomby się gniewał, gdybym przez sześć miesięcy na jedne musiał zapatrywać się osoby. Jako też to się mi nigdy nie przytrafiło, od tego czasu, jak jestem wystawiony.

KOMIN F.

Bo też ty nie jesteś jeden z naystarszych kominów w tym domu.

KOMIN E.

Prawda, iż wiele jeszcze do tego brakuje, lecz jestem podobno jeden z nayokazalszych.

KO-

KOMIN F.

Opowiedz mi, proſzę, niektóre z ſwoich awantur, jak jeſteś dobrym moim ſąſiadem.

KOMIN E.

Bardzo chętnie, jeśli to cię nudzić nie będzie. Zaczynam tedy od mego początku, którego data jeſt jeſzcze niedawna; naypierwſzy z ludzi, który ſię przy mym grzał ogniu, był to młodzian z Prowincyi, młódſzy brat, z tamtąd to, gdzie młódſi nic nie dziedziczą nad ſwą Szlachetność, y wychwalanie ſwego urodzenia. Który to talent doſkonale móy umiał kawaler. Do tego przyłączał inny jeſzcze wybornieyſzy; gdyż bardzo ſzczęśliwie grał w karty, ſzczęście zaś jego pochodziło z pilnego bardzo ćwiczenia ſię, codziennie przy mym ogniu zabawiał ſię, tylko układaniem kſztaltnym kart, a częſto y nocy trawił na doświadczaniu jak mu póydą.

KOMIN F.

Taką rzeczą, nigdy mu pieniędzy nie muſiało brakować.

KOMIN E.

Gdy-

Gdyby y naywięcey miał, tak rospraszał, że zawsze się w potrzebie znaydował. Paradować, tracić na stroje, było to jego występkiem, albo raczey jego nacyi. Lecz to wszystko niedługo trwało, szczęście jego w karty, pobudziło nienawiścią przeciw jemu wszystkie Akademie graczów, zaczęto go zle traktować, y pociągać do Prawa, tak tedy straciłem go na końcu czwartego miesiąca. Piękny to był człowiek, do tych czas go żałuję. KOMIN F.

Ktoż tedy jego zastąpił mieysce?

KOMIN E.

Jedna z nayosobliwszych osob, którą tylko widzieć można. Był to małżonek wierny aż do grobu, nieutulony w żalu po stracie swojey kochaney połowicy, nieczuły na wszystkie inne ukontentowania y zabawy, jak tylko na swoje łzy; nakoniec był to mąż szczegulny, kazał zaraz obić kirem cały pokoy, y zamknąć okna przed promieniami słoneczne-

czne-

cznemi, nie zachował, jak tylko ſmutne światło lampy, w tey przykrey ciemności, jęczał tylko y łzy wylewał. Często mówił głośno, właśnie jak człowiek bezrozumny do małey ſkrzyneczki, którą czcić zdawał się. Wſparty na ſtoliku kirem obitym, zabawiał się z tą drogą ſwoją relikwią, y gadał do niey, właśnie jakby odpowiadała na jego miłośne ſłowa.

KOMIN F.

Może miał ducha zamkniętego w tey ſkrzynecce?

KOMIN E.

Ducha zaś? co za proſtota! było tam ſerce jego małżonki, objekt jego miłości y czci.

KOMIN F.

Co za zbyteczne przywiązanie! to, co mi ty powiadaſz, zdaje się rzeczą do wiary niepodobną.

KOMIN E.

Y jabym temu nie wierzył, gdybym tego nie widział, nie dawno ſłyſzałem, iż czytano Xiążkę, w któ-

ktòrey opiſany był traktat wierności, czyli raczey głupſtwa podobnego w jednym Filozofie Angielſkim, przyznam ſię, iż ledwie ſam temu wierzyć mogę, mimo to, com ci powiedział. Przykład takowy koniecznie múſi być ſzczegulny.

KOMIN F.

Y jakże długo ten dobry mąż w ſwym zoſtawał głupſtwie?

KOMIN E.

Trzy wielkie mieſiące; to prawda, że oczy już mu więcey miłych dla niego łez dodawać wzbraniały, ſmutki jego y boleści, nie były już tak żywe, nie utrzymywał już więcey ſwey pokuty, jak tylko dla honoru. Szczęściem dla niego, iż przyjaciele dowiedzieli ſię, gdzieby on ſię znaydował, y wyciągnęli go z tamtąd. Rozumiem, iż miał im potym wdzięczność za ten gwałt. Takim tedy ſpoſobem ſtraciłem tę tak oſobliwą oſobę.

KOMIN F.

Zdajemi ſię, iż cię to nie bardzo smu-

ſmuciło? KOMIN E.

Bynaymniey; pokoy, w ktòrym mieſzkam, oddany był potym do mieſzkania pewney Damie, z czego dziwnie byłem kontent, bo do tych czas męſzczyzni tylko w nim mieſzkali. Stròy nie wytworny, y czterdzieści lat na czele napiſane dawały jey minę poważną, która mię zaraz uderzyła w oczy. Po opiſaniu, ktòre ſą o Dewotkach, rozumiałem, że y ta jedna z Dewotek była.

KOMIN F.

Aleś ſię może omylił?

KOMIN E.

Wkrótce z mego wyſzedłem błędu. Była to kobieta chytra, układna, która lubiła roſkoſzy y przytym ſwoją utrzymać chciała reputacyą y ſławę. Chcąc tedy to razem pogodzić, przyjechała z Prowincyi, ſzukać w tym mieście ſchronienia przeciwko obmowie. Wkrótce przybył także y ten, dla ktòrego ową podjęła podróż. Zdziwiłem ſię

przy

przy pierwſzey wizycie, którą jey Amant oddał, rzuciła ſię mu w ręce jey powaga, odmieniła ſię prawie w głupią żywość, a ogień w jey twarzy, zatarł w momencie ślady lat. KOMIN F.

Co za ucieſzna Dewotka.

KOMIN E.

Kochała z tak wielkim natężeniem, ile ſobie tylko wyſtawić można. Dla tego nic nie zaniedbywała do utrzymania ſwego zwycięſtwa, wiedziała to doſkonale, iż w jey wieku, należy przyozdabiać naturę ſztuką. KOMIN F.

Jakieyże ona ſztuki zażywała?

KOMIN E.

O to tey, że bielidłem y różem, dodawała ſobie kolorow, jakie mieć życzyła. Perfumy, łaźnie, ſtroje, wſzyſtko to nie było zaniedbane. Siedziała przy gotowalni od rana aż do przyiścia ſwego Amanta, y znowu zaczynała przy niey ſiedzieć jak Amant wyſzedł. Uczyła ſię bez przeſtanku we żwierciedle różnych

min,

min, y uważała, czy mina powolna lub żywa zdobiła lepiey jey twarz, y którą w przytomności ſwego kochanka wziąć miała. Względem zaś kareſſow y umizgow, dziwnie y doſkonale onych umiała ſpoſoby.

KOMIN F.

Przy tym wſzyſtkim, nie podobną było rzeczą ją nie kochać.

KOMIN E.

To pewna, a do tego miała jeſzcze inne wdzięki, daleko więcey mocy mające nad ſercem człowieka młodego. Była bogatą, y hoynie płaciła. Dla tego trzeba było mieć ſerce bardzo twarde, żeby tak wſpaniałey nie kochać kobiety. Lecz dni życia ludzkiego ſą policzone; gdy ci dwoje kochankowie w naywiększe opływali delicye, kawaler zachorował, y wkrótce umarł. Mimo wſzelką pomoc, którą nayſławnieyſi Doktorowie dać chcieli.

KOMIN F.

Kochanka jego zapewne była tym do żywego tkniętą.

KOMIN E.

Nieinaczey; roſpaczała y we łzach ſię

ſię pogrążała, wzięła znowu na ſiebie ſwoją układną minę, powróciła zbudowanie czynić w Prowincyi przez ſwoje przykłady; móy pokoy niedługo był próżnym, gdyż wkrótce w nim inna ſtanęła kobieta; którey profeſſyą było kojarzyć małżeńſtwa.

KOMIN F.

To zabawne rzemioſło.

KOMIN E.

Jeſt to rzemioſło cale powſzechne, takowe czynności wyciągają przemyſłu y roſtropności, na czym tey dobrey kobiecie nie zbywało. Czyniła propozycye, ułatwiała trudności, y częſto długą prowadziła awanturę, o jakże wiele było zfałſzowanych kontraktow w mojey przytomności; miała także ten talent, iż udawała naychudſzych za bogatych Gaſkonów, y dodawała ozdoby, y zaſzczytu cnocie nayobojętnieyſzey.

KOMIN F.

Przecudna kobieta.

KOMIN E.

Wſzyſtko to dla niey jedyną było zaba-

zabawą, y mogłaby była oſzukać wſzyſtkich naydoświadczeńſzych y naybiegleyſzych Miſtrzów; dla tego też zbogaciła ſię w tey uczciwey profeſſyi. Lecz ją wkrótce ſkrupuły objęły, które tak daleko ją zaprowadziły, iż umyśliła ukryć w Klaſztorze wſtyd życia przeſzlego. Tak tedy pobożność była mi przyczyną ſtraty tey tak zacney Intrygantki.

KOMIN F.

Lecz ſzczęściem twoja naturalna obojętność przeſzkadzała ci żałować tey ſtraty.

KOMIN E.

To pewna, z tym wſzyſtkim po niey, miałem bardzo wiele oſób poſpolitych, jako to: Patronów, ludzi wielce nudnych, jako też niektóre oſoby z Prowincyi, których ſama ciekawość do tego zprowadzała miaſta, y którzy powracali ſię nazad, nie więcey widziawſzy, jak tylko przez perſpektywę. Lecz już późno jeſt mòy kochany ſąſiedzie, dobrey nocy ci życzę: dopowiem ci inſzego

cza-

czaſu wyobrażenie Oryginałów, które ſię przy mym grzały ogniu.

KOMIN F.

Do obaczenia mòy kochany ſąſiedzie, ja ci także przypomnę twoją obietnicę.